

# WIEŻA

I Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie  
im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

**OMP:O**

Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej

**Kielce 2022**

redakcja i korekta: Jolanta Białek  
skład i projekt graficzny: Dariusz Ścisło

Copyright © by Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej, Kielce 2022

ISBN 978-83-944242-5-1

wydawca: Wzgórze Zamkowe, ul. Zamkowa 3, 25-009 Kielce  
[www.zamkowa3.pl](http://www.zamkowa3.pl)  
[www.ompio.pl](http://www.ompio.pl)

Kielce 2022

## SPIS TREŚCI

<b>Marek Maciągowski</b> Wstęp .....	7
<b>Agata Marzec</b> Trędowata .....	9
<b>Sebastian Adamski</b> Babel .....	15
<b>Alicja Choroszevska</b> Szklana wieża .....	21
<b>Paulina Gubała</b> Wieża sumień .....	27
<b>Andrzej Kaczmarczyk</b> Siedem pięter .....	33
<b>Jacek Kalinowski</b> Ruch obrotowy .....	37
<b>Maria Kocot</b> Chłopiec z wieży .....	43
<b>Katarzyna Kownacka</b> Uwięziona .....	49
<b>Tomasz Kozłowski</b> Wernisaż .....	57
<b>Joanna Madej</b> Zabawa w chowanego .....	63
<b>Marcin Nadratowski</b> Schody w górę, schody w dół .....	69
<b>Agata Policht</b> Wieża śmierci .....	75
<b>Kamila Szmigila</b> Wieża Lucyny .....	79
<b>Zyta Trych</b> Rozliczanie w kilku odsłonach .....	85





## Wstęp

# Dlaczego „Wieża”?

Kim jest aliancki żołnierz, który w 1945 roku, gdzieś w odległym górskim Piemencie, w miasteczku nasyconym legendami i przypowieściami, poznaje zawiłości ludzkiego losu i stawia pytania o o sens życia, cierpienia i śmierci bohaterów, których historie niespodziewanie dane mu było poznać? Nie mówi przecież o sobie, o swoim samotnym losie maturzysty i studenta, którego wojna rzuciła w świat. Nie mówi o swojej morderczej pracy w obozie na nieludzkiej ziemi, o tułaczce z Armią Polską, z którą, zanim trafił do Włoch, udało mu się wydostać z rosyjskiej otchłani. Wspomina tylko mimochodem o świętokrzyskim pielgrzymie w okolicy miasta, w którym się urodził, zmierzającym do starego opactwa na Świętym Krzyżu i posuwającym się każdego roku o ziarnko piasku. Kiedy już dojdzie na szczyt góry, ma nastąpić koniec świata. Nikt nie wie, czy kiedykolwiek kamienny pielgrzym osiągnie swój cel. I co wtedy będzie nagrodą za jego trud, skoro nie będzie już świata. Co wart jest jego morderczy trud, co warte jest życie, którego cel jest odległy i nigdy niepoznany? Miejscomi ludzie gdzieś z Gór Świętokrzyskich codziennie omijają pielgrzyma z kamienną, zniekształconą przez stulecia twarzą, traktują go i jego syzyfowy wysiłek obojętnie, jak niezauważalną już część przyrody. Ta obojętność uprzytamnia obcym, że pielgrzym jest również bezgranicznie samotny, a życie każdego z ludzi też jest codziennym dążeniem do celu, zwykle niezauważanym przez innych. Samotny aliancki

żołnierz pyta o sens życia pełnego cierpienia i samotności, w którym jest Bóg, ale niepojęta jest jego rola, szuka odpowiedzi na pytanie o istotę człowieczeństwa.

Ważne, odwieczne pytania, na które ciągle każdy w swoim życiu szuka odpowiedzi, stawia Gustaw Herling-Grudziński w opowiadaniu „Wieża”. Czym ona jest? Kamienną twierdzą i zimnym murem odgradzającym człowieka od świata i skazującym go na samotność, czy też wzniesioną ku niebu platformą, z której można dojrzeć cel życia i jego odległą perspektywę. Dlatego właśnie „Wieża” stała się tematem ogłoszonego przez Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej w Kielcach I Ogólnopolskiego Konkursu na Opowiadanie im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o nagrodę Marszałka Województwa Świętokrzyskiego.

365 nadesłanych na konkurs opowiadań, bardzo zróżnicowanych w formie i treści, potwierdziło aktualność ważnej tezy pisarza, że człowiek musi ciągle poszukiwać sensu życia i prawdy o sobie, musi próbować określać wartości porządkujące złożoność ludzkiej natury i ludzkiego świata. Próbować, bo poznanie prawdy o człowieku nigdy nie da prostych rozwiązań czy odpowiedzi.

W tym tomiku prezentujemy opowiadania wyróżnione przez jury: prof. Małgorzatę Krzysztofik, Stanisława Nyczaja i prof. Stanisława Żaka. Wśród nich jest utwór zwycięski „Trędowata” Agaty Marzec. Nagrodzone opowiadanie, podejmuje temat niezwykle dziś aktualny i ważny dla każdego człowieka, uwikłanego w skomplikowaną rzeczywistość. Próbuje zmierzyć się z problemem, który niegdyś postawił Gustaw Herling Grudziński: jak żyć z piętnem, którego przyczyną jest zło, zarówno to, które czynimy, jak i to, któremu ulegamy. Czy potrafimy znaleźć na nie odpowiedź?

*Marek Maciągowski*



Agata Marzec

# Tředowata

– Kiedyś w naszej wsi było wiele ładnych kobiet – z nostalgią wspominał na pół szczerbaty rolnik. – Najładniejsze z miejscowych nazywano „Jagnami”, bo do pracy się nie garnęły, za to ciągle smarowały czymś twarze i grzebały przy włosach. A potem weszliśmy do tej, no, unii i to był koniec. Zaczęły masowo wyjeżdżać! Jak tylko się dowiedziały, że nie potrzebują już paszportów, zezwoleń i druków, spakowały sukienki i wybyły w świat. Połowa z nich rodzi teraz czarne dzieci i nie mówi już po polsku. Pozostałe się wyzwoiliły, usamodzielnily i realizują zawodowe marzenia. Pracują jako kelnerki w eleganckich miejskich restauracjach. Nie są już na łasce swoich chłopów.

– Miastowe robią to samo – starałam się uspokoić wyraźnie wzburzonego rozczochrańca. Czulaam, że mi nie ufa i że rozmawia ze mną przez wrodzoną grzeczność.

– Ale w miastach drugie tyle zostaje – kontynuował. – Można sobie wybrać ładną żonkę i spokojnie z nią żyć. Tutaj, w Lubuczewie, pozostały brzydkie, kulawe albo niegramotne. A wszystkie tak samo podkładały się wszystkim, żeby nie czuć się gorszymi niż były. Brałiśmy, bo co było robić? Chłop to chłop – pod pierzynę czasem wskoczyć musi. No więc każda z tych, co we wsi zostały, cieszyła się jakimś zainteresowaniem, przez co obrastała w piórka i zaczynała szczekać. Cieszyliśmy się, że w ogóle zostały.

– Czyli teraz nic już przeciwko unii nie macie?

– No teraz już nie, bo wynagrodziła nam straty.

– I świetlicę macie nową.

– A jakże! Niech dzieciaki mądrze spędzają czas. Pani opiekunka dojeżdża z sąsiedniej wsi i wymyśla im takie zabawy, o jakich najstarsi Słowińce nie słyszeli. Młoda i ładna. I jeszcze jej się chce.

– Brakuje wam tu ładnych kobiet? – zapytałam ostrożnie.

– Z czasem każda powszednieje.

– Wolelibyście egzotyczne? – wypaliłam otwarcie.

Staruszek zirytował się. Odpalił papierosa i splunął przed siebie.

– Pani przyjechała tu na zlecenie policji albo jakiegoś szmatławca? – zapytał podniesionym tonem. – Rower mnie nie zmyli...

Nie wystraszyłam się, a przynajmniej świetnie to udałam.

– Spokojnie, nie szukam skandalu – powiedziałam cześcioprawdę. – Kłóćcie się czasem o kobiety?

– Nigdy. U nas jeden drugiemu baby nie tknie. A jeśli to zrobi, straci rękę.

– Nawet, jeśli mu się bardzo podoba?

– Nawet wtedy!

– Często wprowadzają się na wieś nowi?

– Prawie wcale. Szanowna pani, przecież jest XXI wiek! Dziś nawet życie w mieście przestaje ludziom wystarczać. Najchętniej spacerowałyby po całym kosmosie. U nas towarzystwo raczej rdzenne, z dziada-pradziada. Pani tak dziwnie patrzy. Nikt tu niczego złego nie robi! Lubuczewo to porządna wieś. Jak mówiłem: chłopcy pracowite, kobiety posłuszne. Wszyscy hojnie dają na tacę. „Wsi spokojna, wsi wesoła...”.

Poczułam, że rozmowa ta nie będzie miała ciągu dalszego. Wsiadłam na rower i pojechałam dalej.

\*\*\*

Nie ujechałam stu metrów, gdy za moimi plecami ponownie rozległ się głos starca:

– Czego Ty babo naprawdę tu szukasz?! Guza?

Nie wiedzieć czemu, w sytuacjach panicznego strachu zawsze maskowałam się butną odwagą. Zanim zebrałam myśli, mój język rozwiązał się:

– Wściekliście się, gdy we wsi pojawiła się ona. Nie było wiadomo, kto ją tu ulokował, dlaczego wybrał to miejsce i nie zapytał sąsiadów o zgodę. O programie pomocy uchodźcom słyszeliście w telewizji co nieco. Z unii chcieliście tylko doić! Była piękna i młoda. Miała oliwkową cerę, splecione w warkocz długie włosy i wydatne usta. Gdy szła, pod kremową bluzką falowały dwie kształtne piersi, jakich nigdy wcześniej nie widzieliście nawet u bab, które wyjechały. Była dla was ideałem kobiecości. Przechodząc obok mężczyzn, pokornie spuszczała wzrok i wbijała go w ziemię, ale łąpczywie świdrowaliście ją wygłodniałymi oczami. Oddalibyście swoje żony, żeby choć raz na was spojrziała!

Dostała jedną z podniejszych chałup. Taką, w której żadna z miejscowych rodzin nie odważyłaby się zamieszkać. Miała swoją wieżę, w której zamknęła cały swój świat. Sypiącą się, niezdatną do życia, ale chroniącą przed nalotami i bombami. Przecieraliście oczy ze zdumienia na widok tego, co w kilka tygodni z nią zrobiła. Własnoręcznie przywróciła jej dawną świetność. Z ukrycia podziwialiście jej upór w pobielaniu zaczadziałych ścian. Zza firan obserwowaliście, jak łamie się w pasie i schyla ku ziemi, zaokrąglając swoje obfite pośladki. Z czasem ogniskowaliście spojrzenia już tylko na nich. Nie dało się tego ukryć. „Zróbcie z nią coś!” – nakazywały kobiety. No więc zrobiliście.

W miesięcznicę jej pobytu we wsi, noc była wyjątkowo piękna. Ciepłe i bezwietrzne powietrze nie pozwalało spać. Rzadko zdarzają się takie właśnie noce. Wracała z miasta, gdzie załatwiała tymczasowy meldunek. Szła szybko i miarowo, chcąc jak najszybciej znaleźć się w wieży przy czekających na nią dzieciach.

Wtedy zza stodoły sołtysa wyłonił się jeden z przyczajonych cieni. Szarpnął ją za ramię i powalił na wilgotną ziemię. Przywarł do niej pobudzonym cielskiem, a gdy poczuła ucisk w klatce piersiowej, wydała z siebie przeraźliwy pisk. Cień uderzył ją w twarz i zagroził, że udusi ją, gdy jeszcze raz otworzy usta. Zwarła więc ciasno wargi i zwróciła twarz ku brzożom. Płakały. Na wszelki wypadek nakrył jej usta dłonią. Wierzgające początkowo nogi znieruchomiały na linii męskich spodni, z których wydobył się twardy kawałek wściekłego cielska. Wbił się w miękkie uda kobiety, by po chwili trafić w ich centrum. Po nim wchodziły na nią kolejne cienie. Wydawało się, że jest ich bez liku. Nieskończenie wiele. Po siódmym przestała liczyć.

Tamtej nocy mieliście ją wszyscy. Wlaliście w nią truciznę upodlenia. Jeden z was nazwał ją „workiem na spermę”. Potem bezszelestnie oddaliliście się do swoich chałup. Pomimo zaczepnej duchoty, spaliliście wyjątkowo twardym snem, jaki zwykle nawiedza dotkniętych rozkoszą męzczyzn.

Rankiem wyszliście do swoich zajęć i powróciliście do utrwalonych tradycją rutyn. Poranny deszcz zatarł wszelkie ślady waszej nocnej eskapady. Nikt o niej nie mówił, nikt też nie spoglądał w stronę brzożowej alei. Jedni zabrali się za naprawianie dziurawych dachów, drudzy sprząтали śmierdzącą od ugnojonych gumiaków sień, jeszcze inni zbierali z kurnika jajka. Przecież we wsi zawsze jest co robić.

– Zawsze...

– I gdy było już przyjemnie cicho, nagle z wieży wybiegła ona. Była naga i cała we krwi. W aksamitnej skórze wyźłobiła paznokciami głębokie bruzdy. To z nich sączyła się brunatna rosa. Próbowwała pochwycić własny cień rzucony na słabo jeszcze rozświetloną trawę. Zataczała bezmyślnie coraz szybsze koła, wykrzykując przy tym niezrozumiałe dla was wyrazy. Gestykulowała wściekle i opętańczo. Za nią wybiegły z chałupy przerażone dzieci. Bezskutecznie próbowały zatrzymać matkę, ale była jak samonapędzający się wir. „Wariatka!”, „bezwstydną ladacznica!”, „od początku mówiłam, że będą z nią problemy” – krzyczały chłopki. a ona darła się wniebogłosy i wiła się w konwulsjach przeraźliwego krzyku. Był to krzyk ciała i duszy. Nie wiedząc, co robić, zaczęliście się szyderczo śmiać. Tak po męsku, bez litości. Księżniczka straciła głowę. Nie dla was, lecz przez was!

– Kto pani naopowiadał takich rzeczy?! I po co tu pani naprawdę przyjechała?

\*\*\*

– Jak trafiłyście do Polski?

– Jestem Syryjką. Rok temu mój mąż zginął w wojnie. Zostałam sama z czwórką dzieci i bez dachu nad głową. Nasz dom rodzinny podpalili pijani żołnierze. Obserwowałyśmy to ze strychu sąsiedniego domostwa. Utrata domu jest bolesną sprawą. Uciekając przed wojną domową, najpierw skryłam nas w Libanie, potem w Turcji, ale takich jak my było więcej i zrobiło się ciasno. Moja matka powiedziała,

że w Polsce jest więcej jedzenia i spokoju. A że dziadkowie spędzili w niej pół swojego życia, pomyślałam, że i dla nas znajdzie się miejsce. Polska kojarzyła się nam z bezpieczeństwem.

Podróżowałyśmy nielegalnie. Ukryłam siebie i dzieci w dostawczej ciężarówce. Po kilku dniach wymknęłyśmy się kierowcy podczas postoju i pieszo doszłyśmy do najbliższego miasta. Trafiliśmy na Gdańsk – dumne miasto wolności, ale tam spotkała nas przykra historia. Pracowałam w magazynie hipermarketu, z którego ktoś wynosił towar. Kierownik długo nie mógł namierzyć sprawcy. Po miesiącu, w dniu obiecanej zapłaty, wyrzucono mnie jako „perfidną złodziejską wesz”. Nie miałam jak się obronić, bo nikt mnie o to nie zapytał. Ja, proszę pani, nigdy niczego nie ukradłam, proszę mi wierzyć. To nie ja wynosiłam!

– Ma pani legalne papiery na pobyt w naszym kraju?

– Jeszcze nie, ale mam prawo tu być, bo Europa pomaga takim jak my.

– Oczywiście, że tak. Ma pani prawo tu żyć.

– Gdzieś przecież muszę. Ten dom był opuszczony, więc go zajęłyśmy. U nas, w Syrii, pełno takich stoi. Stworzyłyśmy sobie w nim małe królestwo. Podarowałyśmy mu drugie życie.

– Skąd brałyście jedzenie?

– Mężczyźni, chociaż ich o to nie prosiłam, podrzucali nam czasem jakieś odpadki z pola. Pomyślałam, że dobrzy ludzie tu mieszkają.

– I twierdzi pani, że tutejsi chłopci dokonali na pani zbiorowego gwałtu?

– Spotkały mnie w życiu różne nieszczęścia. Cudem uniknęłam śmierci i tortur, ale nigdzie nie sponiewierano mnie tak, jak tu, w Lubuczewie.

– Ci sami, którzy podrzucali polne zbiory? Zdaje sobie pani sprawę z tego, że oni mają żony i pełne rodziny?

– Dla mnie to bez znaczenia. Krzywda jest krzywda, więc domagam się ich ukarania. Tak nie można... Ja im nic złego nie zrobiłam.

– No właśnie. Nie mieli powodu pani krzywdzić.

– A mimo to mężczyźni robią kobietom takie rzeczy. I to nie jest dobre.

– Czy ktoś może zaświadczyć, że mówi pani prawdę?

– Ktoś na pewno się złamie i powie, jak było. To niemożliwe, żeby wszyscy byli tak samo źli.

– Ktoś z tej gromady?

– Najpewniej któraś z kobiet nie wytrzyma. Pojedzie do miasta i zezna, kogo trzyma pod dachem. Kobieta kobietę zawsze w głębi serca zrozumie.

Z tym przekonaniem i z oczami wilgotnymi od łez młoda Syryjka powędrowała do swojej wieży. Przez otwarte w kuchni okno można było dostrzec jej tańczący nad bulgoczącymi garnkami warkocz. Nastąpiła pora obiadu.

Po tygodniu kompulsywnego myślenia o Adili, znów wsiadłam na rower i pojechałam do Lubuczewa. Na szczęście zdążyłam przed porą obiadową, więc po

podwórkach krzątały się jeszcze wiejskie gospodynie. Zbliżyłam się do najstarszej z nich.

– Pani Mietko, co robił pani mąż tamtej nocy, kiedy Adila, jak twierdzi, została zgwałcona? – zapytałam bez zbędnych ceregieli.

– Spał w swoim łóżku – odpowiedziała oschle, nie przerywając pracy.

– I jest pani tego pewna?

– Jak tego, że amen wieńczy pacierz. Inne chłopcy też spały.

– A co się stało z Adilą?!

– Adila wyprowadziła się z Lubuczewa. Słuch po niej zaginął, a my nie jesteśmy ciekawi, co się z nią teraz dzieje.

– A jej dom?

– Spłonął niedawno. Nieszczęśliwy wypadek. Musiała zostawić coś na gazie. Przy czwórce dzieci to się zdarza. Niech dziękuje Bogu, że ona i dzieci przeżyli. Pożar musiał być groźny, bo aż odcięło jej warkocz. Tyle po tym domu zostało. Do widzenia pani, czas zająć się obiadem. Chłopcy zaraz wrócą z pola.

Opowiadanie zainspirowane autentyczną historią zasłyszaną lokalnie, niestety, nie udokumentowaną w mediach. Zapadła w pamięć wielu kobietom z mojego regionu.



Sebastian Adamski

# Babel

Hałas, tłumy i głośna muzyka. Tak od ponad roku wyglądało życie Radka. Ma wszystko, czego mógłby zapragnąć współczesny nastolatek. Sławę, pieniądze, wolność. Tylko, że mając to wszystko, chłopak nie czuł zadowolenia, nawet trudno mu było stwierdzić, co tak naprawdę czuje. Codziennie chodził otumaniony narkotykami, które podawali mu „starsi koledzy po fachu”. Podobno po nich można grać więcej koncertów. A on, jako wschodząca gwiazda na scenie rapu, nie mógł sobie pozwolić na spadek formy. Musiał kuć żelazo póki gorące. Każdy, kto choć trochę zna się na realiach internetu, zdaje sobie sprawę, że miesiąc w internecie, to jak rok w normalnym życiu. Okazało się, że życie, o którym marzył, było tylko wyidealizowaną iluzją. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że życie celebryty nie należy do najłatwiejszych. W końcu nie raz widział na instagramie, jak taki czy inny artysta, influencer, czy aktor płacze, jak to mu źle i jakie to ich życie jest ciężkie. Jednak Radek nigdy nie brał ich na poważnie. Wydawało mu się, że mając wszystko, czego tylko zapragną, nie mogą być nieszczęśliwi. A teraz, o ironio, był w takim samym położeniu. Wszyscy oczekiwali od niego wyników. Miał zostać najmłodszym rapperem, który uzyskał certyfikat złotej płyty. Fani oczekiwali na koncertach uśmiechów i pełnej energii, więc dawał im to, nawet jeśli w środku miał ochotę wykrzyknąć, jak bardzo potrzebuje pomocy. Nauczył się na scenie nakładać idealną maskę. Czuł ogromną presję ze strony znajomych, rodziny, fanów, producenta. Każdy czegoś od niego oczekiwał. Nie widzieli, jak on się czuje. A może wcale nie chcieli widzieć. W końcu łatwiej jest nie widzieć problemu.

Radek zawsze porównywał swoje życie do niekończącej się wspinaczki na wieżę, cały czas wchodził na kolejne poziomy, nie wiedząc kiedy wejdzie na sam szczyt. Albo czy szczyt w ogóle istnieje. A co jeśli któregoś dnia ta wieża runie, zostawiając go z niczym? Czy będzie w stanie się wtedy podnieść, skoro teraz ledwo sobie radzi. Takie myśli dopadały go każdej nocy. Na szczęście, znajomy lekarz producenta przepisał mu silne leki nasenne, dzięki którym mógł na chwilę się otepić i nie myśleć o tym, co czuje. Praktykował to od jakiegoś czasu. Było przeżyć kolejny dzień. Tylko co to za życie, kiedy ma się wszystko, ale nie ma się ochoty z tego korzystać. Za dnia chodził nakręcony, głównie za sprawą amfetaminy. W nocy zaś, po wzięciu benzodiazepin, zasypiał prawie od razu.

Po roku takiego życia chłopak był wypruty z jakichkolwiek emocji. Miał wrażenie, ba! Był pewien, że wszyscy traktują go jak maszynkę do robienia pieniędzy. Rodzice siedzieli w domu i żyli za pieniądze jakie zarabiał, dawni znajomi w większości się od niego odwrócili, gdy przestał mieć dla nich czas. Trudno im się dziwić. A nowi

znajomi widzieli w nim tylko sposób na wybicie się, albo na wkręcenie się w towarzystwo celebrytów.

Tej nocy chłopak postanowił nie wziąć swoich leków. Robił tak raz na jakiś czas, ale potem szybko tego żałował i brał pigułki. Jednak zanim znowu zapadł w sen, zastanowił się, czy nie rzucić tego wszystkiego w cholerę? I ile by dał, aby wrócić do swojego dawnego życia. Ale czuł, że zaszło to już za daleko, wydawało mu się, że wszedł już na za wysoki poziom wieży. I patrząc z tak wysokiego piętra w dół, skok wydawał mu się nierealny. Nazajutrz dzień Radka zapowiadał się, jak każdy kolejny, działka z rana, wizyta w studio, później parę koncertów, hotel, leki i spanie. Ale nie spodziewał się, że na jego drodze stanie ktoś, kogo nie spodziewał się już nigdy zobaczyć.

– Radek Woźniak, cóż to za spotkanie! – rzucił chłopak, którego Radek miał nadzieję już nigdy w życiu nie spotkać. Piotr Maj, ktoś, przez kogo życie Radka zamieniło się w piekło. Piotr w przeciwieństwie do Radka był uwielbiany przez ludzi od zawsze. W szkole należał do grupki tych popularnych dzieciaków, którzy zawsze byli w centrum uwagi. I jak to w szkole jest, taka grupka zawsze musi znaleźć sobie kogoś do gnębienia. W tym przypadku ich celem stał się Radek. Był łatwym celem, z tego względu że był homoseksualistą. Po zmianie szkoły z gimnazjum na liceum zyskał nowych znajomych, nowe życie, a teraz nie dość że stracił to wszystko, to koszmar jego dawnych lat powrócił. Chłopakowi zaczęło się kręcić w głowie, przez chwilę myślał, że Piotr jest tylko jakimś złudzeniem, halucynacją. Być może wziął za dużo leków i taki jest tego efekt. Stał jak zamurowany, nie potrafiąc wydusić z siebie ani słowa.

– Widzę, że jesteś tak samo rozmowny jak za dawnych lat – szydził z niego Piotr, po czym poklepał go po plecach i wyszedł z pomieszczenia, w którym miało odbyć się spotkanie dotyczące kolejnego koncertu rapera.

– Co on tu robił? – zapytał Radek, czując jak grunt osuwa mu się spod nóg.

– To jest gość, który zamówił ten prywatny koncert. Rozmawialiśmy o nim ostatnio – odpowiedział ze spokojem menadżer chłopaka.

Nagle Radek poczuł niekontrolowany przyływ złości.

– Nie ma opcji, że dla niego zagram – warknął.

– A to niby dlaczego?

– Nie twoja sprawa.

– Jestem twoim menadżerem, wszystko co związane z tobą jest moją sprawą.

Zagrasz i tyle.

– Nie ma opcji.

Menadżer wstał i podszedł do rapera.

– Posłuchaj, nie mam ani czasu ani ochoty na zajmowanie się twoimi gówniarskimi humorkami. Jak chcesz się wypłakać, to idź do mamusi. Tutaj chodzi o pieniądze, a uwierz, że ojciec tego gościa dużo płaci.

– Nie chcę od niego żadnej kasy.

– Nie ty tu podejmujesz decyzje.

– Ale...

– Koniec – uciął mężczyzna. – Jego ojciec to wpływowy człowiek, takim jak on się nie odmawia, więc teraz usiądziesz i grzecznie dogadasz z nami szczegóły koncertu, jasne?

– Jasne – odburknął Radek, po czym nałożył swój standardowy uśmiech i omówił szczegóły koncertu.

„Nie obejdzie się bez dodatkowej dawki amfy” – pomyślał.

Po spotkaniu Radek wrócił do hotelu, w którym akurat się zatrzymał. Zastanawiał się, po co po tylu latach Piotrek wrócił. Znowu chce go upokorzyć? No tak, koncert u osoby, która się z ciebie wyśmiewała, jest idealnym pokazem siły. A może Piotr chce pokazać, że Radek nie jest już tym samym zakompleksionym gimnazjalistą? Ale to nie znaczy że jest wyżej od Maja. Koncert miał się odbyć już jutro o siedemnastej. Radek wiedział że nie zaśnie bez dodatkowej dawki leków, najlepiej popitej alkoholem. Następnego dnia obudził się z ogromnym bólem głowy, odhaczył typowe czynności, parę spotkań, w międzyczasie kilka kresek, parę puszek piwa. Kiedy jechał do domu Piotra nie czuł ani lęku ani złości, benzodiazepiny całkowicie go znieczuliły. Gdy przybył na miejsce, drzwi otworzył mu nie kto inny, jak sam gospodarz imprezy.

– Mam nadzieję, że tym razem będziesz bardziej rozmowny – rzucił Piotrek, a potem zaprowadził Radka do pokoju.

– Wytłumaczysz mi, po co to robisz? – zapytał raper, siadając na krześle.

– Co robię?

– Nie udawaj.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – zaśmiał się, siadając na kanapie naprzeciwko Radka.

– Minęło tyle lat, a ty nadal chcesz mnie prześladować? Nie znudziło ci się?

– A tobie się nie znudziło?

– Co?

– Pieniądze, sława, narkotyki, imprezy?

– Nic nie biorę...

– A ja jestem matką Teresą – przerwał mu Piotrek.

– O co ci właściwie chodzi?

– Paradoksalnie jesteśmy do siebie bardzo podobni – powiedział spokojnie.

– Nie jestem taki jak ty.

– Czyżby? Robisz wszystko by nie spaść z pozycji, jaką masz, grasz u gościa, który przez parę lat cię prześladował, pijesz, ćpasz. Czym się tak bardzo różnimy?

– Ja nikogo nie krzywdzę.

– Samego siebie krzywdzisz.

– Ściągnąłeś mnie tu tylko po to, aby mi to powiedzieć? Jeśli tak, to wychodzę – odparł Radek i ruszył w stronę drzwi.

– Jesteśmy w takiej samej sytuacji, ja nie chcę stracić pozycji w mieście, ty w kraju. Kto by pomyślał, że kiedyś ludzie będą bardziej kochali ciebie niż mnie – zaśmiał się Piotr.

– Postanowiłeś zostać psychologiem?

– Nie, ale tobie stanowczo by się jakiś przydał.

– Nic o mnie nie wiesz – wycedził przez zęby Radek, kładąc nacisk na pierwsze słowa.

– Mylisz się. Starzy cię olali, bawią się za twój hajs, znajomi mają cię w dupie. Zostali ci tylko ci, których interesuje twój portfel. Dlatego bierzesz leki nasenne i w kółko ćpasz.

Radek bez słowa chwycił za klamkę.

– Wiem, jak możesz się od tego uwolnić. Oboje możemy.

– Nie mogę.

– Możesz, tylko musisz przestać wyobrażać sobie, że jesteś tak wysoko, że nie dasz rady skoczyć.

– Serio myślisz, że ci zaufam?

– Nie masz wyjścia – powiedział Piotr, zbliżając się do Radka. – Wiesz, że niedługo wejdiesz na szczyt swojej wieży. I wiesz też, co tam zastaniesz.

– Co?

– Pustkę. Na szczycie nigdy nic nie ma. Dążymy do niego całe życie, trącąc znajomych, rodzinę. Najpierw żyjemy *va banque*, cieszymy się z tego, co mamy. Później zatracamy się w pracy, chcąc wejść na kolejny poziom. Tak jest z tobą. Czujesz, że nie możesz się wycofać. Ale to nieprawda, ten skok nie jest aż tak bolesny, jak ci się wydaje.

– Tak? I co? Według ciebie mam zostawić to, na co tak długo pracowałem? I co dalej?

– Być szczęśliwym, żyć...

– Przestań z tymi swoimi frazesami rodem z jakiegoś filmu coachingowego. Nie mogę zostawić całego swojego życia, bo mam taki kaprys.

– To, jak się czujesz od dłuższego czasu, nazywasz kaprysem?

– Dobra, nie mam ochoty dłużej z tobą gadać. Zagram ten koncert i nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy.

– Jak uważasz, za dwadzieścia minut wchodzisz. Przemyśl to. Dla ciebie nie jest jeszcze za późno – westchnął Piotr i wyszedł z pokoju.

Radek został sam. Rozmowa z Piotrem całkowicie wytrąciła go z równowagi. „Ten śmieć, przez którego tyle lat miałem problemy, teraz śmie mi dawać rady?

Dla niego to takie łatwe, zniszczyć wszystko, na co się tyle czasu pracowało? A potem żyć, cholera wie z czego... Ludzie na mnie liczą. Rodzice sobie nie poradzą beze mnie... Jak skończyć karierę, gdy się jest na szczycie?”

– Wchodzisz za chwilę – usłyszał głos zza drzwi, wyrывая go z rozmyśleń.

Przed wyjściem wziął taką dawkę amfy, jakiej nigdy nie brał. Cała ta rozmowa kompletnie wybiła go z rytmu. Od miesięcy grał zadowolonego z życia rapera, który ma wszystko, a teraz ktoś go przejrzał i to kto – znienawidzony Piotrek!

Wszedł do salonu i gdy usłyszał pierwsze dźwięki, znowu poczuł się dobrze, na swoim miejscu. Scena zawsze była dla niego bezpiecznym miejscem. Miejscem, w którym oddawał się temu, co naprawdę kochał. Mimo świadomości, że gra dla Piotra Maja, dał z siebie wszystko. Świat wokół niego zaczął wirować. Tętno podskoczyło do dwustu na minutę. Nagle usłyszał tylko huk... Obudził się dopiero w szpitalu. Gorączkowo rozglądał się po białej sali.

Po chwili zobaczył wchodzącego lekarza. Bezbarwnym głosem poinformował go, że przedawkował amfetaminę.

– Niewiele brakowało. Tym razem nam się udało. Ale nie zawsze pomoc przychodzi w porę. Proszę to przemyśleć, jest pan taki młody...

Radka uderzyły nie tyle słowa, ale jakiś smutek, zrezygnowanie, może bezsilność, które doktor miał wypisane na twarzy. Dotarło do niego, że jeśli nie zdecyduje się sam zejść ze swojej wieży, to kiedyś po prostu z niej spadnie. I będzie to upadek śmiertelny.

Musiał porozmawiać z Piotrem, to było pewne. Wszystko mógł o nim powiedzieć, ale nie to, że jest głupi. Jeśli miał plan, jak go z tego wyciągnąć, to mu zaufa. Wiedział, że nie może tak po prostu zerwać umowy z menadżerem i zniknąć. Umowa była podpisana przez jego rodziców, a oni w życiu nie zgodzą się, by przestał być ich bankomatem. Czy oni go kochają, czy tylko pieniądze, które dzięki niemu mają? A inni?

W tej chwili do szpitalnej sali wszedł nie kto inny jak Piotr Maj we własnej osobie.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Szkoda, że nie zadałeś mi tego pytania, gdy przez ciebie nie miałem życia w szkole – mruknął Radek.

– Chciałem cię... przeprosić, naprawić to, jeśli się da... – zawiesił głos Piotr.

Radek też milczał. Czy jest sens wracać do przeszłości? Ważne jest tu i teraz. Spojrzał na Piotra z nadzieją.

– Pomożesz mi uwolnić się od tego wszystkiego?

– Na pewno, nie tutaj? Twój rodzice już byli?

– Nawet nie pofatygowali się, by zadzwonić – odpowiedział cicho Radek.

– Dobra, trzeba najpierw załatwić wypis. Czujesz się na siłach, żeby stąd wyjść?

– Raczej. Trochę słaby, ale jest okej.

– Poczekamy do jutra. W tym czasie pogadam z ojcem, on pomoże.

Następnego dnia na Radka czekał wypis. Piotr odebrał go ze szpitala i zawiózł do swojego domu. Gdy już siedzieli w salonie na kanapie były prześladowca zaczął.

– Jesteś naprawdę pewny, że...

– Tak – przerwał mu Radek.

– Dlaczego nagle postanowiłeś mi zaufać?

– Bo nie mam innego wyboru. Staczam się z mojej wieży, a nie mam nawet osiemnastki...

Zapadła cisza. Patrzyli na siebie, jakby ważąc słowa, które padły. Zaczął Piotrek.

– Trzeba zorganizować jakieś miejsce, w którym mógłbyś się zatrzymać, najlepiej gdzieś daleko. Bo na pewno będą cię szukać, w końcu takie zaginięcie gwiazdy będzie miało super klikalność.

– Teraz, w moim stanie długo nie pociągnę...

Piotr przerwał mu zdecydowanie.

– Musisz iść na odwyk, inaczej nie dasz sobie rady. To pozwoli ci się odciąć od dawnego życia.

– Nie wiem...

– Przed chwilą byłeś pewien, że chcesz zmienić swoje życie.

– Tak samo myślałem, gdy zaczynałem karierę. A co, jeśli ta decyzja będzie jeszcze gorsza niż tamta? Może lepiej nic nie zmieniać? Nie jest przecież tak źle...

– Wczoraj prawie umarłeś – powiedział Piotrek z mocą.

– Wiem, ale może...

– Musisz podjąć decyzję. Na szczycie nigdy nie ma nic oprócz samotności.

Masz szansę na nowe życie, nie zmarnuj jej.

Radek nie odzywał się przez chwilę.

– Masz rację, nie zmarnuję.

Nazajutrz wszystko było gotowe. Radek, zrozumiał, że nie ma nikogo, z kim chciałby się pożegnać. Miał tylko przy sobie dawnego prześladowcę – teraz jedynego przyjaciela. Ale pierwszy raz od dłuższego czasu wierzył, że razem z nim opuści wieżę, która nigdy się nie kończy.

Alicja Choroszevska

# Szklana wieża

Potężny biurowiec górował nad całym miastem, rzucając cień na jego mieszkańców. Była to największa i najwspanialsza budowla, jaką w życiu widziałem. Przytłaczała nie tylko niebywałym rozmiarem, ale i precyzją wykonania – smukły i wywarzony kształt nadawał jej lekkości. Krystaliczne szyby odbijały padające na biurowiec promienie słońca, tworząc olśniewające iluminacje. Najbardziej zdumiewała mnie jego nieskończoność. Zwykły przechodzień, spoglądając w niebo, widział jedynie kolejne piętra – szczyt budowli pozostawał nieuchwytny dla ludzkiego oka. „Jak to niemożliwe, żeby człowiek mógł postawić taką budowlę” – myślałem nie raz.

Zamierzałem właśnie przekroczyć jej próg i przypomniałem sobie, jak wiele lat temu, stojąc w tym samym miejscu, spotkałem pewnego człowieka. Wpatrywałem się wówczas dziecięcymi oczami w bezkresny drapacz chmur, gdy niespodziewanie w moją stronę podszedł starszy mężczyzna. Zapytałem go, co kryje w sobie gęstwina chmur, unosząca się nad naszymi głowami. Ten zwrócił swe wyblakłe oczy w niebieską pustkę.

– Powiadają, że kiedy wejdiesz na sam szczyt, twoim oczom ukaże się przyszłość. Wszystkie krainy i miasta tego świata leżeć będą u twoich stóp – odparł.

Ujrzeć przyszłość – to nie mieściło się w mojej dziecięcej głowie. Z biegiem lat zrozumiałem, że starzec zapewne przesadził ze swoim egzaltowanym opisem, w końcu żaden człowiek nie jest w stanie zobaczyć przyszłości. Mimo to dręczyło mnie nieustanne pragnienie, aby wjechać na najwyższe piętro i na własne oczy przekonać się, czy widok opisywany przez mężczyznę, choć w połowie jest tak piękny, jak w jego opowieści.

Obecnie będąc młodym, pełnym aspiracji absolwentem szkoły handlowej, rozpoczynałem pracę w owym biurowcu. Postanowiłem, że podczas przerwy dostanę się na szczyt biurowca, rzucę okiem na panoramę miasta i wrócę na swoje miejsce pracy. Plan zwiezły i prosty w wykonaniu, więc jeśli nie przydarzy mi się jakaś niepożądana, nagła sytuacja to jeszcze przed południem pozbędę się tego natrętnego marzenia minionych lat.

– Dzień dobry – przywitałem starszą kobietę z portierni. Wyglądała na jedną z tych wiecznie niezadowolonych pracownic, z tęsknotą wyczekujących emerytury. Wpatrywała się w monitor wielkimi, spuchniętymi oczami. Podniosła głowę znad ekranu, przerywając tym samym rundę pasjansa.

– Pan w jakiej sprawie? – rzuciła.

– Pracuję tutaj.

– Doprawdy? Nie poznaję pana twarzy, a ja znam wszystkich pracowników.

– Jestem nowy, więc nie może mnie pani znać – starałem się utrzymać spokojny ton.

– Nowy? Ci nowi, zawsze z nimi problemy – zaczęła mamrotać pod nosem – co chwila przyłażą, a starych nie ubywa... Weź tu ich wszystkich spamiętaj. Swoją drogą, co też pana podkuśiło do rozpoczęcia pracy w tej fabryce szcurów?

– Dokładnie to samo, co skłania wszystkich ludzi do podjęcia pracy – pieniądze – skłamałem. Wyjawienie moich prawdziwych intencji nie byłoby najrozsądniejszym posunięciem.

– Pieniądze – głos kobiety przepelniała ironia. – Ach, wy biurokraci, wszyscy jesteście tacy sami. Rozpoczynacie pracę w nadziei, że uda wam się wspiąć na szczyt. A ostatecznie kończycie na jednym słabo opłacanym stanowisku.

– Jak to mówią w wielkim świecie, nadzieja umiera ostatnia – odparłem, zdobywając się na jeden z moich najbardziej czarujących uśmiechów.

– Nadzieja matką głupców – weszła mi w słowo. – Myśli pan, że kim ja kiedyś byłam? Też byłam nowa, pełna aspiracji i nadziei, co mi z tego zostało? Siedzę tu, na portierni, już przeszło trzydzieści lat.

– Naprawdę przykro mi z powodu pani porażki zawodowej – moja cierpliwość właśnie się wyczerpała. – Czy będzie pani tak uprzejma i wskaże mi drogę do biura? Będę niezmiernie wdzięczny.

Otworzyła usta, zapewne z zamiarem wylania na mnie kolejnej fali skarg i żalów, gdy podeszła do nas młoda kobieta. Wyglądała na nie więcej niż trzydzieści lat. Elegancki kostium współgrał z jej wyprostowaną i zgrabną sylwetką. W rękę trzymała stertę papierów. Odłożywszy je na blat, odwróciła się w moją stronę.

– Pan jest tutaj nowy? – jej barwa głosu emanowała pewnością i jakimś dostojeństwem.

– Tak. To mój pierwszy dzień pracy – na nowo starałem się zabrzmieć uprzejmie. – Orientuje się pani może, do którego działu zostałem przydzielony i jak się tam dostać?

– Oczywiście, w końcu jestem asystentką. Zarządzanie zasobami ludzkimi leży w zakresie moich obowiązków. Pan nazywa się... – podniosła jeden z papierów i przeczytała moje nazwisko.

– Tak to ja – odetchnąłem. Wreszcie zajął się mną ktoś kompetentny.

– Zatem proszę za mną – wskazała ręką windę po lewej stronie. – Zaprowadzę pana do archiwum, to w nim zwykli zaczynać nasi nowi pracownicy.

Winda wysadziła nas na jednym z niższych pięter. Moim oczom ukazał się, pozbawiony oświetlenia, korytarz. Rozglądałem się dookoła, w celu znalezienia tabliczek informacyjnych, lecz panujące na naszej drodze ciemności uniemożliwiły to skutecznie.

– To tutaj, archiwum. – Zatrzymaliśmy się przy dużych drzwiach, oznaczonych numerem 141. – Życzę udanego pierwszego dnia w pracy – to mówiąc, skłoniła się, aby następnie rozpląnąć się w otaczającej mnie czerni. Chciałem zadać jej jeszcze kilka pytań, ale już jej nie było, poruszenie się po tym labiryncie w pojedynkę jawiło mi się jako coś niebezpiecznego. Niewiele myśląc, pchnąłem, znajdujące się przede mną, metalowe drzwi.

Archiwum wypchane było po brzegi ogromnymi stertami papieru, pnącymi się pod sam sufit. Po prawej stronie znajdował się szereg kserokopiarek, drukujących nowe dokumenty, natomiast po lewej, szereg niszczarek, które przerabiały przedawnione akta w kupkę śmieci. Pomiędzy kupą kartonów, w centralnym położeniu pokoju, stało biurko, a na nim stary wentylator. Maszyna zdawała się działać doskonale, wokół biurka latały rozmaite papiery, tworząc jeszcze większy bałagan. Ostrożnie próbowałem precyzyjnie się przez morze dokumentów. „Jak widać, nowym zawsze zleca się najgorszą robotę” – pomyślałem.

– Przepraszam, złapie pan dla mnie tę czerwoną teczkę?

W drugim kącie archiwum, tuż pod regałem, na drabinie stał mały człowieczek. Ubrany po uczniowsku, z wielkimi okularami na nosie, wyglądał niczym krasnal ogrodowy. Spojrzałem na unoszące się nad biurkiem dokumenty. Wśród nich zaplątała się jedna czerwona teczka. Sprawnym ruchem ręki chwyciłem ją i zawołałem w stronę skrzata:

– O tę panu chodzi?

– Tak, tak, tak. Dokładnie o tę czerwoną teczkę – o mało nie spadł z drabiny. – Zechce mi ją łaskawy pan podać? – wyciągnął dłoń w moim kierunku. Wręczyłem mu teczkę.

– Pan tu pracuje? – spytałem.

– Tak, tak, tak. Jestem archiwistą – zszedł z drabiny. – Niezmiernie się cieszę, że wreszcie dali mi kogoś do pomocy. Spójrzy pan tylko na te góry papieru, odkąd zacząłem tu pracować, one w kółko rosną i rosną, a końca nie widać.

Przerażony wizją niekończącej się pracy stałem w osłupieniu. Tymczasem archiwista przedarł się w stronę biurka.

– Zajmiesz się niszczeniem starych kopii. Musisz je wszystkie wrzucić do niszczarek. Kiedy już skończysz pozbywać się tych śmieci, proszę cię, żebyś usystematyzował wydrukowane papiery po prawej stronie. To bardzo proste: zielone do zielonych, czerwone razem, niebieskie na sam spód i tak dalej. Poradzisz sobie, wyglądasz mi na kogoś rozbawionego – to mówiąc, poklepał mnie po ramieniu, po czym wrócił do przerwanego zajęcia.

Niszczenie kserokopii było potwornie żmudnym i okropnie nudnym zajęciem. Pomimo tego starałem się robić to jak najlepiej, po cichu licząc na pochwałę ze strony przełożonego. Mijała godzina za godziną, a pracy nie ubywało. Czuję, że siedzę tu

już któryś dzień z rzędu. Fakt, że pokój pozbawiony jest okien, tylko utwierdza mnie w tym przekonaniu.

– Nie należy nam się jakaś przerwa – zagailem zmęczony.

– Nie może być przerwy – odparł spokojnym tonem. – Przynajmniej, dopóki nie uporamy się z rokiem dwutysięcznym. Wiem, wiem to niewdzięczna praca, ale z każdą kolejną godziną człowiek coraz bardziej się przyzwyczaja. Z każdym kolejnym dniem łatwiej mu zaakceptować swój los, a po paru miesiącach zapomina, dlaczego tak właściwie jest nieszczęśliwy.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale wtem zadzwonił telefon. Człowieczek podniósł słuchawkę.

– Halo? Ach, tak, tak, tak. Miejsce? Przekażę mu – spojrzał na mnie. – Chyba wreszcie się pan stąd wyrwie. Dzwonili z zarządu, zwolniło się miejsce w dziale komunikacji. Chcą, aby pan je zajął.

– Pan tu zostaje?

– Dokąd mam iść? Nikt nie chce zajmować się pracą w archiwum, więc nie mam wyboru, moim obowiązkiem jest tu zostać. Ktoś musi.

– Zawsze odmawia pan awansu?

– Zawsze. Bo powiedz proszę, ale tak szczerze – podszedł bliżej. – Wymieniłbyś się ze mną? Zostałbyś tu na kolejne dziesięć lat sortować akta? Odpowiedź brzmi: nie – zamilkł na chwilę. – Niech pan nie zwleka, do widzenia – odwrócił się na pięcie i zniknął gdzieś w papierach.

Opuściłem archiwum. Korytarz na zewnątrz wyglądał zupełnie inaczej niż go zapamiętałem. Jasne światło odbijało się od białych ścian. Naprzeciwko metalowych drzwi znajdowała się winda z napisem „Dział telekomunikacji”. Wszedłem do środka i nacisnąłem jedyny guzik, opatrzony numerem 650.

Miejsce, do którego trafiłem, nie przypominało archiwum. Ogromna sala, zajmowała niemalże całe piętro wieżowca. Pustą przestrzeń wypełniały zwarto poukładane konsolki, przy których zasiadali pracownicy. Każdy z nich miał do dyspozycji telefon, a także tonę artykułów biurowych. Tu aż roiło się od ludzi. Wszędzie dookoła słychać było rozmowy, a zatrudnieni przemieszczali się z miejsca na miejsce niczym pszczoły w ulu. Ni stąd ni zowąd wyrosła przede mną elegancka kobieta, którą już wcześniej spotkałem.

– Jak dobrze, że się pan zjawił. Stanowisko już czeka, tędy proszę – bez zbędnych wyjaśnień poprowadziła mnie na nowe miejsce pracy. Rozsiadłem się na obrotowym krześle, w oczekiwaniu na wskazówki ze strony asystentki, ale ta znowu zniknęła. Rozglądałem się bezradny. Postanowiłem spytać, siedzącej tuż obok, pracownicy o jakieś wskazówki.

– Przepraszam, może to pytanie niezbyt na miejscu, ale na czym polega praca w telekomunikacji? – zapytałem.

Jej niebieskie tęczaówki rozwarły się szeroko. To spojrzenie powiedziało mi, że dziewczyna nie bardzo rozumie, czego od niej chce. Powoli, słowo po słowie, powtórzyłem pytanie.

– Co robimy? – nareszcie zrozumiała sens moich słów. – Nie wiem. Ja osobiście odbieram telefon, jak ktoś dzwoni. Rozmawiam z nim chwilę, a firma mi za to płaci. – Uśmiechnęła się, dumna z udzielnej odpowiedzi.

– To żart? – spytałem skonfundowany.

– Jaki żart? To jest praca, jak pan chce żartować, to trzeba było zostać komikiem.

Odwróciła się, widocznie urażona moją uwagą. Chciałem się jakoś wytłumaczyć, ale dzwonek mojego telefonu pokrzyżował moje plany.

– Halo? „Jesteś przedstawicielem handlowym!” – upomniałem się w myślach.

– Dzień dobry, firma M., w czym mogę służyć?

Po drugiej stronie słuchawki odezwał się głos należący do staruszki. Zrozumiałem z jej chaotycznej wypowiedzi, że miała problem z zakupionym produktem. Czułem się zdezorientowany. Co robić?

– Musisz spisać dane petenta i nacisnąć czerwony guzik – polecenie wyszło ze strony mojej sąsiadki. Idąc za jej namową, spytałem klientkę o jej personalia i wcisnąłem rzeczony przycisk.

– Dzięki za radę – spojrzałem na siedzącą obok dziewczynę.

– Nic wielkiego – nadal zdawała się urażona. – Po prostu przekierowałeś klienta do innego działu. Ot, cała filozofia: musimy zapisywać jedynie liczbę odebranych telefonów w postaci informacji osobistych, a następnie przekierować ich do innego działu.

– Długo pani tutaj pracuje?

– Dwa lata? – spojrzała w sufit – może trzy? Nie liczę czasu.

– Nie nudzi się to pani? Takie odbieranie telefonów? Nie jest pani zainteresowana czymś bardziej... ambitnym? – jej stosunek do wykonywanej pracy wydawały mi się z jakiegoś powodu intrygujący, choć jednocześnie niezrozumiały.

– Dlaczego? To dobrze płatna posada, a przy tym niewiele robię – wreszcie raczyła obdarzyć mnie spojrzeniem swych niebieskich oczu. Poza tym, w przeciwieństwie do pana jestem jeszcze młoda. Mam czas.

To dziwne, ale poczułem się stary. Jestem tutaj niespełna jeden dzień, a odnoszę wrażenie, jakbym spędził tu połowę życia? Chciałem już jakoś skomentować tę niegrzeczną uwagę, ale morze telefonów zalało mnie gwałtownie. Nie pamiętam, ilu klientów obsłużyłem. Rozmowy ciągnęły się w nieskończoność. Ręce bolały mnie od zapisywania nazwisk. „Chciałbym, żeby to się skończyło” – myślałem bezradny i coraz bardziej zmęczony. „Nie mogę się teraz poddać... jestem tu, aby dotrzeć na szczyt” – sam siebie przywoływałem do pionu. Kolejny telefon.

– Dzień dobry, w czym... naprawdę? Tak, z przyjemnością, to wielkie wyróżnienie. Od kiedy? Dobrze, do zobaczenia – rozłączyłem się. Drugi awans tego samego dnia.

– Przenoszą mnie – rzuciłem do mojej byłej już współpracownicy.

– Dokąd? – pytanie pozbawione był zainteresowania, zadane jedynie z grzeczności.

– W górę – przekroczywszy próg, żwawym krokiem pogałem do windy.

Stałem twarzą w twarz z samym prezesem – mężczyzną w średnim wieku o przysadzistej budowie i nienagannej prezencji. Siedział na ogromnym, skórzanym fotelu i przypominał króla, który szykuje się do wydania wyroku. Oczy w kolorze stali mierzyły mnie od stóp do głów. Przełożony oparł swój ciężar na prawej ręce, lekko pochylając się do przodu i przemówił.

– Pozwoli pan, że powiem wprost – głos miał niski i zmęczony. – Nasza wspaniała firma potrzebuje przywódcy, kogoś, kto wie, czym jest poświęcenie. Człowieka ambitnego, doceniającego ciężką pracę. Przez ostatnie lata przeglądałem listę wszystkich naszych pracowników i jedynie pan naturalnie poza mną, zdaje się spełniać te wymogi. Obaj poświęciliśmy nasze życia dla dobra M., obaj mamy podobne doświadczenie, obaj jesteśmy idealistami – tu zwrócił wzrok na stojące przed nim zdjęcie. – Ja mam rodzinę, przejmując obowiązki szefa, kompletnie zaniedbałbym moich bliskich. Pan jednak, z tego co wiem, nie ma rodziny – przeciągał co drugie słowo. – A to ogromna przewaga.

– Mam przejąć firmę? – to najbardziej absurdalna chwila w moim życiu.

– Tak – odparł spokojnie. – W końcu od początku było to panu pisane. Decydując się przekroczyć ten próg, oddałeś życie naszej szklanej wieży. Proszę udać się windą na najwyższe piętro – uśmiechnął się. – Gabinet już czeka.

Zbliżałem się ku szczytowi. Nie jestem w stanie zliczyć, ile pięter pozostawiłem za sobą. Tym bardziej, ile czasu minęło, odkąd rozpocząłem pracę w tym budynku. To nie miało teraz żadnego znaczenia, bowiem wreszcie spełnić się miało moje najskrytsze marzenie. Już za moment ujrzę przyszłość. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Drzwi windy otworzyły się. Najwyższe piętro pozostawało puste, czekało tylko, aż ktoś zechce je urządzić. Podbiegłem do szyby. Ujrzałem w niej odbicie starożytnego człowieka, wpatrującego się w niebo przysłonięte chmurami. Patrzę na własne odbicie i nie wierzę. Gdzie podział się ten młody marzyciel, który przyszedł tu dziś rano? Na którym piętrze się zgubił?

Paulina Gubała

# Wieża sumień

Nawet nie wiem, jak się tu znalazłem. Wśród ludzi mi obcych, a jednocześnie takich jak Ja. Pamiętam, że moja mama umarła, a ja błąkałem się nocą po ulicy. Nie wiedziałem, gdzie mam pójść. Nikogo nie znałem. W końcu zatrzymał mnie jakiś mężczyzna i posadził na „pake” dużego samochodu. Okazało się, że nie jestem tam sam. Było nas dużo – same dzieci. Maluchy płakały, a te starsze próbowały je jakoś pocieszać. To wszystko działo się, gdzieś jakby obok mnie, bo cały czas myślałem o mamie. Przed śmiercią powtarzała w kółko: – Musisz żyć. Pamiętaj, musisz żyć.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Przecież żyję. Mam prawie osiem lat, całe życie przede mną.

Zawsze, gdy nocą pada ulewny deszcz, natychmiast zasypiam, dlatego i tym razem sen szybko mnie ogarnął. Obudziłem się dopiero, gdy wstało słońce. Pierwsze promienie po burzy są jak orzeźwiająca szklanka wody po zabawie w berka, jak zapach świeżo upieczonego chleba, jak leżenie w wysokiej wiosennej trawie. Chciałbym być teraz w domu, z mamą i z tatą.

– Gdzie jesteś tato? – pomyślałem. Dawno go nie widziałem. Ostatni raz, kiedy mama czyściła mu zielone ubranie. Potem je nałożył i przyjechali po niego jacyś panowie, ubrani zupełnie tak samo jak tato.

– Czy każdy tatuś tak wygląda? – zapytałem mamy. Jej usta uśmiechnęły się lekko, ale oczy były bardzo smutne. Tato pocałował mnie w czoło i odjechał.

Przy ciężarówce, w której byłem z innymi dziećmi, słychać było poruszenie. Ktoś stukał butami, ktoś coś mówił. Niczego nie rozumiałem. Nagle jakiś pan podniósł plandekę i światło słoneczne nas oślepiło. Przetarłem oczy i zobaczyłem jeszcze innych panów, ubranych tak samo, tylko że na czarno. Każdy z nich to pewnie czyjś tatuś, może oni zaprowadzą mnie do mojego? Ciekawe co znaczą te kolory? Może są tatusiowie czarni i zieloni, może są też czerwoni, i żółci, albo biali.

Tato mojego kolegi Stasia, należy pewnie do tych białych, zawsze pachnie chlebem i chałką. Chyba chciałbym być w tych białych, pachnieć chlebem i przychodzić do domu na czas, bo zielonych nigdy nie ma w domu.

Wypakowali nas z auta i musieliśmy ustawić się w kolejce. Pojedyńczo wchodziliśmy do jakiegoś drewnianego budynku. Trochę się naczekałem, zanim przyszła moja kolej. Trochę zgłodniałem i chciało mi się pić. Wszedłem do ciemnego pomieszczenia, gdzie za biurkiem siedział wąsaty pan w okularach, był ubrany na biało ale nie pachniał pieczywem tylko czymś innym, czymś co już kiedyś czułem. Usilnie starałem sobie przypomnieć, co to mogło być, ale nie mogłem. Pan w bieli o coś mnie pytał, ale nie odpowiadałem mu, bo cały czas próbowałem sobie przypomnieć,

skąd znam jego woń. Czasem mamy coś na końcu języka, ale nie możemy sobie tego przypomnieć. Okropne uczucie wiedzieć i jednocześnie nie wiedzieć. Opuściłem. Z pustym żołądkiem nie da się myśleć. W drugim pomieszczeniu była jakaś pani. Czułem się dziwnie, gdy zaczęła zaglądać mi do gardła, do uszu, do oczu. Ważyła, mierzyła, aż w końcu zaczęła coś pisać. Chciałem zapytać, czy dostanę coś do jedzenia, ale wcisnęła mi do ręki kartkę i kazała iść do kolejnego pokoju. Na kartce były jakieś liczby. Ledwie je zobaczyłem, gdy ktoś wyrwał mi kartkę z rąk i kazał się rozebrać. Pomyślałem, że dostanę jakieś nowe ubranie. Dobry pomysł, moje trzeba było uprać bo było jeszcze mokre po nocnej ulewie.

Kiedyś pojechałem z rodzicami w góry. Tam też były drewniane domki. Jakiś pan zaprowadził nas do pokoju i zaprosił na obiad. Mama i tata zabrali mnie do ładnego pomieszczenia ze stolikami i krzesłami. Podszedł do nas pan i dał tacie kartkę z jakimiś liczbami i literkami, dopiero się ich uczyłem, więc nie wszystko rozumiałem. Potem pan przyszedł znowu i zabrał tacie kartkę. Gdy wrócił kolejny raz przyniósł nam same pyszności do jedzenia. Chciałem zjeść sam, bo byłem już duży, ale niestety ubrudziłem swoją koszulę. Czerwona zupa zrobiła czerwoną plamę. Mama szybko wróciła ze mną do pokoju i kazała mi zdjąć koszulę, poszła z nią do łazienki. Mama wtedy miała prawie taką samą minę, jak pan który teraz zabrał mi ubranie i dał jakąś... piżamę. Po co mi piżama?

Zaprowadzili mnie na duży plac, gdzie było mnóstwo dzieci. Zdziwiłem się, bo nie tylko ja byłem w piżamie. Może wszystkie dzieci się ubrudziły, a jedyne ubranie jakie mogły dostać na zmianę to piżama? Byłem na wielu placach zabaw, ale ten był jakiś smutny. Zazwyczaj dzieci bawią się głośno i słychać ich radość wszędzie a rodzice siedzą po drugiej stronie i obserwują swoje pociechy. Spojrzałem za ogrodzenie z myślą, że może zobaczę tam tatę. Było tam kilka osób obserwujących dzieci, ale nie zauważyłem tam taty. Kilka metrów dalej, w rogu placu stała ogromna drewniana wieża.

Pewnego dnia o świcie tata mnie obudził mnie.

– Wstawaj synku, idziemy na polowanie – powiedział łagodnie. Tata chodził na polowania przynajmniej raz w miesiącu. Mama twierdziła, że jestem jeszcze na to za mały, ale ja cieszyłem się, bo chciałem zobaczyć jak wygląda to tatusiowe polowanie. Jeszcze zaspany, ubrałem się ciepło i musiałem iść blisko taty bardzo cicho. Szliśmy w stronę lasu. Czułem, że w lesie jestem bezpieczny, lubiłem zbierać grzyby i jagody, słuchać śpiewu ptaków. Gdy dotarliśmy na miejsce, było jeszcze ciemno. Moim oczom ukazała się wieża, duża drewniana wieża ze schodkami.

– Wejdzmy na górę – powiedział tato. – To jest ambona, ale nie taka jak w kościele. Stąd obserwujemy zwierzęta. Gdy jakieś zobaczysz, to daj mi znać.

Siedzieliśmy tam tak długo, że wstało słońce. Nagle zauważyłem zająca i pokazałem go tacie. Zabawny szarak stał na tylnych łapkach i obserwował pobliską łąkę. Jakie śmieszne są te małe, puszyste zwierzątka. Kiedy tak z uśmiechem patrzyłem

na to leśne stworzenie, tato wyjął lornetkę, a gdy zajac zaczął kicać ścieżką w stronę polany, tato wyjął strzelbę, wykonał kilka dziwnych ruchów ramionami i strzelił. Huk był tak głośny, że przez dłuższą chwilę nie słyszałem niczego, tylko okrutny pisk w uszach. Gdy zorientowałem się, co się stało, tato podbiegł do zajaca i trzymając go za długie uszy, szedł w moją stronę. Nie mogłem na to patrzeć. Uciekłem z wieży i dotarłem do domu przed tatą. Płakałem cały dzień i nawet mama nie mogła mnie uspokoić. Gdybym wiedział, co zrobi tata, nigdy bym mu nie pokazał biednego zajaczka. Wtedy poszedłem na polowanie pierwszy i ostatni raz. Mama tłumaczyła mi później, że tato nie robi im krzywdy, że to jest naturalne. Ludzie zawsze to robili.

– Jeśli jest tu taka sama wieża, to są też myśliwi. Jeśli każą nam jeść tylko zajace, to marny mój los. Na szczęście, dostaliśmy trochę wody i kromkę chleba. Niewiele, ale lepsze to niż potrawka z zajaca. Wieża na placu zabaw różniła się od tej w lesie, miała okna, a myśliwi stali w niej cały dzień i całą noc. Wszystko inne było takie samo, tak samo ubrani myśliwi, z lornetkami na szyjach, z bronią na ramieniu, bacznie obserwowali cały plac. Patrzyłem na nich w skupieniu i myślałem, jak można być myśliwym, gdy szturchnął mnie jeden z chłopaków i rzekł:

– Nie gap się tak na nich!

– Nie gapię się – burknąłem, wyrwany z moich rozmyślań.

– Przecież widzę. Życie ci nie miłe? Oni tylko czekają na takich jak Ty – odpowiedział chłopiec.

– Nic im nie zrobiłem. Zresztą nie chcę już polować. Nie mam zamiaru wchodzić na wieżę – rzuciłem chłodno, bo obiecałem sobie, że nigdy nie wezmę udziału w polowaniu. Wysoki, chudy chłopak spojrział na mnie zdziwiony i pobiegł w stronę budynku z desek. Wchodząc do środka, odwrócił się w moją stronę i pokiwał przecząco głową.

Poczułem się nieswojo. Jestem wśród dzieci, a one patrzają na mnie jak na kogoś obcego. Ponownie podniosłem wzrok na wieżę i... napotkałem wzrok jednego z myśliwych. Powoli spuściłem oczy w kierunku ziemi, ale nie mogłem się ruszyć z miejsca. Strach sparaliżował mnie doszczętnie. Czułem, że myśliwy mierzy mnie swoim chłodnym, stalowym spojrzeniem. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Czułem się jak ten zajac, którego zabił mój ojciec. Czy za chwilę usłyszę strzał? Gdzie ja jestem!?

Nagle rozległ się dźwięk gongu, a część dzieci szybkim krokiem wyszły z drewnianych domów i ustawiły się na placu. Reszta dzieci, która stała ze mną na placu ustawiła się w szeregi. Ulżyło mi i strach mnie opuścił, bo miałem blisko siebie takich jak ja, nie byłem już sam. Myśliwy stracił mnie z pola widzenia. Poczułem ogromną ulgę. Nie trwało to jednak zbyt długo. Nagle niczym spod ziemi wyrósł przed nami wysoki, szczupły mężczyzna ubrany na czarno. Wyglądał trochę inaczej niż reszta dorosłych. Miał czapkę, trochę inne znaczki na mundurze i wysokie, błyszczące w słońcu czarne buty. W rękę trzymał różgę. To na pewno czyjś tato.

Pamiętam, jak kiedyś rzucałem kamieniem w psa i niechący wybiłem szybę w piwnicy u sąsiada. Kiedy mój ojciec się o tym dowiedział, przyniósł z dworu kawałek takiej różgi... Płakałem całe popołudnie.

Mężczyzna pewnym krokiem przechadzał się wzdłuż szeregu, mówił głośno w nieznanym mi języku i patrzył wzrokiem tak surowym i zimnym, że poczułem dreszcze. Mój tata nigdy tak nie patrzył, był czasem na mnie zły, ale nigdy taki. „Czarny pan” machał różgą przed twarzami wylęknionych dzieci. Potem wybrał jakąś dziewczynkę z tłumu i kazał jej wyjść na środek. Każdy z obecnych czekał z ciekawością i strachem na rozwój sytuacji. Dziewczynka około pięcioletnia musiała wyciągnąć ręce przed siebie. Nie wiedzieliśmy, co się zaraz stanie. Mężczyzna mocnym ruchem ręki zaczął uderzać różgą w dłonie dziewczynki. Dziewczynka krzyczała, zanosila się płaczem. Po kilku uderzeniach rozejrzałem się. Reszta dzieci patrzyła na to obojętnie, a u niektórych pojawiły się w oczach łzy... u mnie też. Najgorsze było to, że gdy pojawiła się na dłoniach dziewczynki krew, „czarny pan” nie przestawał jej bić. Nawet później gdy straciła przytomność i osunęła się na ziemię. Bił ją po plecach, nogach, po całym ciele. Aż w końcu ktoś nie wytrzymał i z tłumu dzieciaków rozległ się przeraźliwy krzyk, jakby niebo przeszył piorun, a potem huknął grzmot:

– Przestań!!!

Odwróciłem się, a moim oczom ukazał się widok tak niesamowity, że aż nierealny. W ostatnim szeregu stał starszy chłopak, mógł mieć piętnaście lat. Jego postawa wzbudziła mój szacunek, chociaż jeszcze chwilę temu patrzył na mnie podejrzliwie i przestrzegał przed myśliwym z wieży.

Ten sam chłopiec stał teraz wyprostowany, silnie zaciskał usta i pięści, z oczu sączyły mu się łzy. Przeszło mi przez myśl, że zaraz rzuci się na mężczyznę, ale wszystko działo się zbyt szybko. Wystarczył moment, gdy usłyszeliśmy strzał. Nie musiałem patrzeć na wieżę. Wiedziałem, że strzał pochodził od myśliwego. Upadliśmy odruchowo na ziemię. Zamknąłem oczy, ale kiedy je otworzyłem, zobaczyłem chłopca leżącego na boku, trzymał się za brzuch. Jego ręce krwawiły, a oczy powoli gasły, zwrócone były w moim kierunku i jakby chciał mi powiedzieć, żebym nigdy więcej nie patrzył na myśliwego.

Tego popołudnia dowiedziałem się, gdzie jestem, kim jest myśliwy, kim jest „czarny pan”, ale nie dowiedziałem się, dlaczego umarła dziewczynka i jej brat. Przez kilka dni po tym zdarzeniu nikt nie chciał rozmawiać o tym, ja też byłem w ogromnym szoku. Wyobraziłem sobie zającą, tatę i mamę, która mówiła, że to normalne. Widocznie ludzie zachowują się czasem jak zwierzęta i polują na siebie. Nie mogłem spać. Czy zabicie zającą i zabicie człowieka to jest to samo? Czy człowiek z wieży wiedział, że zabija dziecko, czy myślał, że jesteśmy zającami? Czy mój tata zabił kiedyś człowieka? Czy gdybym był na wieży, też bym chciał kogoś zabić? Głowa bolała mnie codziennie. Pewnie od zastanawiania się, jak to jest. Potem usłyszałem, jak dorośli mówili, że „czarni” znaleźli u dziewczynki trochę chleba i jeszcze kilka

drobiazgów, które dawał jej brat. Zasłużyła więc na karę. Jej brat nie mógł na to patrzeć, chciał jej pomóc. Za to zginął.

Kiedy pogoda pozwala, wychodzę na zewnątrz i siadam na placu, żeby popatrzeć na wieżę. Czasem widzę tego samego myśliwego, który zabił chłopca. Początkowo patrzyłem na niego z obawą, ale nic się nie stało. Codziennie podchodziłem pod wieżę coraz to bliżej. Patrzyłem mu prosto w oczy z niewielkiej odległości. Myśliwy denerwował się, ale nie strzelił. Zgłosił mnie kilka razy do strażników, którzy mnie pobili, ale nawet to nie odstraszyło mnie od obserwowania wieży.

Pewnego dnia, gdy tak siedziałem, myśliwi z wieży placu dla dzieci po prostu uciekli.

\*\*\*

Kiedy byłem już dorosłym mężczyzną, postanowiłem wyjechać na Zachód.

Nie chciałem wracać do lat dziecięcych, chciałem o nich zapomnieć. Wszystko zmieniło się, gdy po latach natknąłem się w prasie na wywiad z synem mężczyzny, który pracował w obozie jako strażnik. Opisywał realia panujące w blokach dziecięcych. Natrafiłem na fragment, w którym syn opowiadał, że ojciec wracał z pracy, ścisnął i całował go z całych sił. Często mówił o chłopcu, który codziennie przesiadywał pod wieżą i dziwnie na niego patrzył. Ojciec czuł się wtedy bardzo źle, przychodził do domu wyczerpany. Kilka lat po wojnie, tuż przed śmiercią mówił o chłopcu spod wieży:

– To było moje sumienie.



Andrzej Kaczmarczyk

# Siedem pięter

Na szczycie wieży mieszkał kot. Mamrotał niechętnie,  
gdy przelatujące kolorowe liście zmieniały las w kalejdoskop.  
Wieża stała wewnątrz wielobarwnego, wysychającego witrażu.  
Obrastała bluszczem, wszystkie siedem poziomów przyrośnięte  
pędami do poszycia.

Na siódmym piętrze mieszkała stara, łysiejąca sowa.

Na szóstym było Co Tylko Chcesz.

Na piątym stał wypchany mamut.

Na czwartym mieszkały wilki.

Trzecie zajmowały kapelusze.

Drugie śnieg.

Nic.

Na pierwszym piętrze było nic. Cudowne, czyste nic. Kot czasem schodził  
po schodach nacieszyć się niczym czule muskającym rude futro.

– Nic tak nie cieszy jak nic – mruczał.

Tego dnia kot wygrzewał się w słońcu na dachu wieży. Pogrążony w półśnie,  
wzdrygał się i wierzgał, wyczuwając prześlizgujące się po nim spojrzenie. Czyjaż to  
uwaga zdawała się smarować jego sierść lepką mazią?

Kot otworzył oczy.

Poniżej, przed wieżą, sztalugę rozłożył Malarz. Wilgotnym pędzlem pac-szur-  
szur przepoczwarzał płótno w obraz.

Och, nie, nie, nie. Nie można kota tak po prostu portretować i wieżę, na której  
leży, od tak sobie przyjść i malować.

Kot zsunął się ze szczytu wieży na schody i szybkoitko zszedł.

– Hu? – spytała sowa przycupnięta po ciemku na siódmym pięterku.

– To tylko jakiś pacykarz – kot odparł, prychając, a sowa spokojnie zasnęła  
ponownie.

Dalej kot zignorował niegrzecznie Co Tylko Chcesz (bo koty zawsze robią,  
co chcą), minął mamuta i przemknął między wilkami. Przystanął na moment wśród  
kapeluszy, po czym dalej ruszył. Szybciutko przebiegł przez skrzypiący śnieg, i przez  
nic.

Wreszcie wychynął z wejścia do wieży i skacząc po szeleszczących liściach,  
zbliżył się do malarza.

– Nie prosiłem o portret – oschle stwierdził kot, z niesmakiem spoglądając na wizerunek wieży. Niedokończony dach zdobiła pomarańczowa plamka. – A moja sierść jest ciemniejsza.

Malarz zamarł, z niedowierzaniem mierząc kota wzrokiem.

– A więc to prawda – wymamrotał wreszcie. – Wieża jest zakłeta. I mieszkają w niej mówiące zwierzęta.

– Wolę być milczący. Ale nie sposób przemilczeć, że naruszasz kocią prywatność i naprzykrzasz się mojej wieży. Tak tu siedzisz i patrzysz, i pędzłem nas smyrasz – tak się nie godzi, to przykre nad wyraz.

– Ależ ja muszę namalować tę wieżę! To światło, te liście, te cienie, stworzę arcydzieło!

Kot spojrział na obraz przez przymrużone powieki i przeciągnął się. Westchnął i mruknął.

– Nie musisz tu ślęczeć nad tym nieszczęściem i przeszkadzać mi spać. Chodź. Potrzebujesz lepszego widoku.

– Lepszego? – spytał malarz z niedowierzaniem.

– Nie pragniesz spojrzeć z zakłetej wieży? – kot odpowiedział pytaniem.

Kot patrzył z pogardą na malarza ignorującego nic. Cudne nic, mile muskające kocie wąsy, nieobecność łaskocząca łapki, cisza czule kusząca uszy! Jak można tak po prostu je minąć?

Śnieg za to, zwykła zmrożona woda zalegająca na drugim piętrze w zaspach, wprawiła malarza w zdumienie.

– Skąd śnieg tu w środku? I to jesienią?

– Po prostu tu leży. Gdzieś chyba się musi podziwiać – ziewnął kot.

Następnie przeszli przez piętro kapeluszy.

– Nie dotykaj żadnego. Wśród nich coś się rusza.

Malarz rozejrzał się wśród wzgórz nakryć głowy. Były tam meloniki, czapki, czepki, cylindry, hełmy i kaski, sombrera i fedory, berety, homburgi. Całe wydmy trikornów, doliny kłobuków, labirynty rogatywek, osuwiska kaszkietów.

Coś poruszyło stos kokoszników, jakiś kształt węzowy wzburzył birety i zatrząsał turbanami. Cichutkie kocie łapki nigdy nie drażniły życia na trzecim piętrze, lecz te ludzkie buty na twardej podszewie...

– Biegiem! – nakazał kot, slalomem pokonując aleję szlafmyc i przeskakując ponad papachami. Malarz ledwie zdążył wbiec na schody, zanim utonąłby w tsunami sztrajmłów i magierek, panam z Ekwadoru i haub lotniczych, wśród których wiła się niewyraźna lecz wielka sylwetka.

– Co to...

– Teraz ciii! – przerwał kot. – Jesteśmy na czwartym piętrze. Wilki są wszędzie.

Malarzowi wydawało się, że to pierwsze miejsce wyglądające zwyczajnie. Meble i drzwi, korytarze, pokoje sypialnie...

– Nie daj się zwieść, bo dasz się zjeść. Mogą się kryć za kanapą, mogą spać na sofie, wiem, że jedna wataha zajęła jadalnię.

Szli powoli, po cichu, czasem słysząc wycie, czasem warczenie. Dywany były poszarpane, ktoś pazurami rozorał całą ścianę, malarz widział też ślepią w uchylonej szafie, a nawet nadepnął na śpiącego wilka w salonie – prawie.

– Nie wszedłbym do wieży, gdybym wiedział, co w niej mieszka.

– Nie jesteś nawet nadgryziony. Zresztą jesteśmy już prawie na miejscu.

W milczeniu minęli kosmatego mamuta zajmującego piąte piętro. Malarz już byłby zawrócił, chciał zażądać, by kot sprowadził go z powrotem, gdy weszli na piętro szóste.

Co Tylko Chcesz często kusiło kota – tuńczykiem, kawiozem lub puchatym posłaniem, lecz jak mogłoby wygrać ze słońcem powyżej i przemiłym niczym na dole? Malarz natomiast...

Przez ogromne okna widział żywe mamuty wędrujące stadami przez tundrę, drzewa tak wielkie i stare, że zmieniły się w kamień, a na ich koronach wyrosły nowe lasy, wodospady i chmury w niemożliwych kolorach. Pośrodku pokoju czekały już farby i sztalugi.

Mamrocząc pod nosem podziękowania, malarz zabrał się do pracy.

– Sprawa skończona. Nie musisz mi nawet dziękować – kot napomknął do sowy w drodze powrotnej.

– Hu, hu.

– Nie przesadzaj. Wskażę mu przecież wyjście... jeśli się kiedyś poskarży.

To rzekłszy kot wrócił na dach, nacieszyć się słońcem i może popatrzeć jak porzucone płótno przysypują liście.

Wieża stała wewnątrz wielobarwnego wysychającego witrażu.

Obrastała bluszczem wszystkie siedem poziomów przyrośnięte pędami do poszycia.

Na siódmym piętrze mieszkała stara, łysiejąca sowa.

Na szóstym mieszkał zajęty pracą malarz.

Na piątym stał wypchany mamut.

Na czwartym mieszkały wilki.

Trzecie zajmowały kapelusze.

Drugie śnieg.

Nic.



Jacek Kalinowski

# Ruch obrotowy

- To. Jest. Wieża - cedzi Adam i ze złością ustawia jeden klocek na drugim - Rozumiesz?

Na granicy dywanu i paneli siedzi Kubuś. Nie patrzy na tatę. Kręci obróconym na dach resorakiem jak bączkiem, który zwalnając, wraca do swojej pierwotnej formy i jaskrawozielonego koloru. Kubuś łapie go w dwa palce. I jeszcze raz.

Szuuus.

I za chwilę znów, jeszcze raz.

- Ja pierdołę, wszystko bez sensu. - Adam wstaje z dywanu i burzy wieżę gwałtownym ruchem dłoni.

- Przestań - mówię, gdy staje przede mną w progu pokoju. - Co się tak uparłeś na te klocki? Daj mu czas.

Adam jest zmęczony, widzę to po nim. Ostatnio źle sypia, w pracy też nie najlepiej. Próbuje mnie minąć w tych szarych dresach i wymemłanej koszulce, ale nie ruszam się, więc daje w końcu za wygraną. Raz jest cały nabuzowany, chwilę później zrezygnowany, jakby ktoś go wyprał i wywirował z całej energii.

- Coś jest nie w porządku, nie widzisz? - pyta.

- I nie przeklinaj przy nim więcej. - Udaję, że go nie słyszę. - W końcu będzie mówił i módl się, żeby nie zaczął od brzydkich słów. Chodź...

- Będzie mówił? - Adam odtrąca moją rękę i kręci głową. - Ma już dwa lata. Czytałeś w ogóle coś o rozwoju dziecka? Chyba nie. A wieżę już od roku powinien ustawiać.

Kubuś kręci różnymi przedmiotami. Znam dorosłych, którzy nie potrafią wprawić monety w ruch obrotowy. To jak zwiniecie rurki w język. Nie każdy tak zrobi, po prostu. A on bierze pięciozłotówkę w małe palce i tak nimi pstryka, że moneta zmienia się na kilka chwil w półprzezroczystą, migotliwą kulę. Później zwalnia i brzęczy na stoliku, jakby za oknem ktoś toczył wózek z żelastwem.

Kręci resorakami, które dostał od mojej siostry. Obraca je po prostu na dach i trąca na krawędziach. Jest w tym jednocześnie delikatny i precyzyjny, bo musi wiedzieć, gdzie uderzyć, żeby autko nie odskoczyło, ale i zdecydowany, jeśli resorak ma nabrać odpowiedniej prędkości. A gdy to zrobi, najlepiej całym kompletem czterech aut, to wtedy całość wygląda jak szeleszczące wiatraki wyrastające z paneli. Sama się łapię na tym, że zerkam z kuchni na ten spektakl albo po prostu słucham szumu różnokolorowych kręciołków. To hipnotyzujące i w jakiś sposób magiczne. Adam stwierdził za to, że ogromnie wkurwiający.

Na znachora trafiam zupełnym przypadkiem. Błądzą samochodem po równoległe przecinających się uliczkach osiedla, na którym nie powinno mnie być, ale nawigacja wariuje i poznaje po płocie przy jednej z posesji, że robię chyba już trzecie kółko. Domki za to wyglądają identycznie, jak szarobure klocki z pucem o strukturze baranka. Na jednej z elewacji dostrzegam tabliczkę, jaką montują sobie ginekolodzy albo pediatrzy na emeryturze. Jej treść mnie intryguje: „ZNACHOR”, napisane wielkimi literami, a pod spodem mniejszymi: bioenergoterapeuta i uzdrowiciel. Ten „znachor” mnie zaintrygował. Myślałam, że nikt już nie używa takiego określenia, a to słowo „uzdrowiciel” już całkiem wydaje mi się szarlatańskie i zastanawiam się, czy to w ogóle legalne. Zapominam o sprawie, z którą jadę i postanawiam wejść przez furtkę. Schodkami w górę. Nie dzwonię, tylko od razu naciskam klamkę. Nie wiem, dlaczego.

W poczekalni siedzi kilka osób. Siadam na wolnym krześle, jak gdyby nigdy nic, jakbym była umówiona. Ludzie szepczą jeden przez drugiego, jakie to rzeczy słyszeli o znachorze. To ci, co na pierwszej wizycie u niego. Bo siedzą i tacy, którzy są regularnymi bywalcami. Potwierdzają te wszystkie szumiące w dusznym korytarzyku plotki, a nawet dokładają więcej: wyleczony polip wielkości pestki śliwki na woreczku żółciowym, zahamowana jaskra, depresja u córki przegoniona samymi, cudownymi rękami uzdrowiciela. I szept uznania po chwili i kiwanie głowami, że „nasz znachor” za darmo leczy dzieci. Spisuję numer telefonu i wychodzę.

Po kilku dniach jesteśmy we trójkę w gabinecie: ja, Adam i Kubuś. Ciężko określić, w jakim znachor jest wieku. On chyba też tego nie wie, bo widzę, że próbuje oszukać czas i wygląda, jakby sam się w tym pogubił: sylwetkę ma młodzieńczą i żyłastą, oczy za to wiekowe, rozmemłane i zażawione, jak u starców, którzy jutro mogą być już po drugiej stronie. Ręce gładkie i sprawne, bo co chwilę nimi podryguje, ale twarz pomarszczona jak zapomniane jabłko w koszu z owocami. I te zęby: równiutkie i białe. Za białe.

Każę nam zostawić Kubusia na dwadzieścia minut. Źle się z tym czuję, bo do tej pory nie zostawał nigdy z nikim innym. Kilka razy z mamą i moją siostrą, ale je zna. I toleruje. Obgryzam paznokcie w kawiarni, do której weszliśmy na kawę i ciastko. Adam nic nie mówi, nie dopija kawy, ciastko jedynie gryzie na raz i zostawia na talerzyku.

Każdy płaci za siebie.

Nie miją pół godziny, gdy dzwoni mój telefon. Wracamy do gabinetu, Kubuś płacze. Nie wiem z jakiego powodu i czy w ogóle cokolwiek się wydarzało, przecież nie musiało. Znam swojego syna jak nikt inny. Potrafi płakać bez powodu. A i tak mam ochotę rzucić się na znachora z pięściami. On jednak, widząc chyba moją dezorientację, a sekundę później narastający gniew, mówi naprawdę w ostatniej chwili:

- Wiem, jak mu pomóc. Wystarczy dziesięć spotkań i państwa syn będzie zdrowy.

Opadam na krzesło. Gdyby starzec stał bliżej, przytuliłabym go, zamiast okładać pięściami. Adam głośno oddycha, jakby skończył bieć półmaraton. Wyrzuca z siebie napięcie i tłumioną złość. Dużo już jej przecież uszło, a ile jeszcze zostało?

Czuję jak powietrze w gabinecie gęstnieje. Gąbczasta mgiełka spowija mi skórę, Adamowi chyba też, bo wydaje mi się, że oboje poruszamy się z półsekundowym opóźnieniem.

Mężczyzna przejeżdża dłonią nad brzuchem Kubusia. Potem plecy i czoło. Powtarza ruchy kilka razy, każdy kolejny w większym skupieniu. Przy ostatnim razie wydaje mi się, że zasnął, a ręka rusza mu się bezwiednie, przez sen. On jednak otwiera nagle oczy i mówi:

- Wystarczy na dzisiaj. Wieczorem syn zacznie walczyć z chorobą. Może nawet gorączkować, proszę mu jednak nic nie podawać.

W nocy jednak nic się nie dzieje. Kolejnej też nie. W dzień Kubuś mało się rusza, wciąż najchętniej wpatrywałby się w kręcące się monety.

Znów odwiedzamy znachora. Wygląda na przejętego. Każe położyć nam się na podłodze. Mi i Adamowi. Równo, z wyciągniętymi w górę rękami.

- Któres z państwa jest wampirem emocjonalnym - mówi z z półprzymkniętymi oczami. - Odbiera całą energię, jaką przekazuję chłopcu. Musimy nad tym popracować, wyeliminować te złe fale. Kilka wizyt po dwieście złotych i myślę, że osiągniemy równowagę.

- Dwieście złotych? - dziwię się. - Równowagę? Mówili, że dzieci leczy pan za darmo.

- Dzieci. - staruszek błyska białymi zębami. - Nie dorosłych.

Więcej go nie odwiedziliśmy.

Diagnozę stawia moja kuzynka na własnym weselu. Na uroczystości, w której nie ma miejsca na przykre słowa. Ani na szczerą prawdę.

Jestem ubrana w przylegającą, pomarańczową suknię do kostek, mam spięte włosy i smokey eye. Jest połowa sierpnia, czuję się wspaniale. W ogóle mam wrażenie, że od tego dnia będzie tylko lepiej. Mężczyźni mają białe koszule i krawaty, dziewczyny pięknie pachną i czuję, że mogłabym należeć do takiego świata. Nie chcę go opuszczać, jest jak moja druga skóra, w którą się wślizgnęłam i w której nikt mnie nie pozna - nie zobaczy przez nią, że moje małżeństwo kruszeje, a dziecko, prawie trzyletnie, jest po prostu dziwne, bo zamiast mówić, pohukuje i błądzi nieobecnym wzrokiem po tylko sobie znanej krainie.

Czuję się podle.

Pierwszy drink rozluźnia mi mięśnie. Impreza jest w dużym ogrodzie pod białym namiotem. Do tańca przygrywa didżej. Pod sufitem zawieszona jest migająca kula, świecąca na fioletowo i jasnozielono. Kubuś upatrzył sobie te światła i gania

w kółko za nimi. Jest ożywiony. W końcu! Myślę sobie, ale im późniejszy wieczór, tym gania coraz intensywniej. Rozgania inne dzieci, potrąca tańczących i nic nie robi sobie z moich upomnień. Ostatnią godzinę przed położeniem go spać spędza w rogu namiotu. Zgięty w kucki obraca znalezionego żuka na pancierz i kręci nim jak autkiem. Nieprzerwaną godzinę.

Agnieszka tego wieczoru wydaje mi się być skupiona na sobie. I dobrze. Wygląda ślicznie, dużo tańczy, tyle samo pije kolorowych drinków. Ale gdy kucam kilka metrów od Kubusia, ona dołącza do mnie i chwilę patrzymy w milczeniu na mojego synka. W końcu całkiem trzeźwym, przyjaznym i zupełnie pozbawionym oceniania głosem Agnieszka mówi coś, o czym wiem od dawna. Ale i tak czuję ulgę, jakbym zrzuciła ogromny plecak:

- Powinnaś gdzieś z nim pójść. On chyba ma autyzm.

Diagnoza nie zamyka się podczas jednej wizyty u specjalisty. To stos papierów, które upycham do dwóch teczek zamykanych na gumki. Czuję się jak w przedszkolu. Wtedy też gromadziłam prace i każdą kolejną odwracałam tyłem i chowałam na spód teczki, żeby nikt ich nie oglądał.

Teraz też schowałamby teczki w najgłębszą szufladę, tam, gdzie panuje ciemność jak w kącie wilgotnej komórki z węglem.

Adam nie musi się upewniać. Wie jakoś podskórnie, co dolega Kubusiowi i nie dźwiga tego. Odsuwa się ode mnie. Najpierw dosłownie, fizycznie. Zasypia najczęściej pierwszy na brzegu łóżka, jakby środek parzył albo był czymś skażony. Mimo że budzi się na chwilę, gdy dołączam do niego koło północy, to najczęściej się odwraca, jeszcze bardziej zbliżając się do krawędzi. Czuję, że zawisło nad nią nasze małżeństwo. W końcu przenosi się na rozkładaną kanapę w salonie, a dwa miesiące później, wiosną, gdy inni ojcowie wychodzą z synami pograć w piłkę, wyprowadza się z domu.

O reszcie mojego życia dowiaduję się w fundacji. Płaczę, ale sama nie wiem czy z żalu czy z ulgi, że ktoś w końcu nazwie po imieniu, co nam dolega. Nam, bo wyczytuje na jednym z forów internetowych, że gdy w domu jest dziecko z autyzmem, to autyzm ma cały dom, nawet złota rybka w kuli.

Lekarz, niewiele starszy ode mnie, o mądrych oczach i wielkich dłoniach, nie siada za biurkiem, tylko tuż obok mnie. Wręcza mi plik kolejnych papierów, mówiąc, że to najgorszy dzień mojego życia, ale kolejne będą coraz lepsze.

- To jest wieża - mówi, opierając się o krzesło, a mnie coś ścisza w brzuchu na dźwięk tych słów, identycznych, jakie Adam wypowiedział podczas zabawy na dywanie.

- Zabawne - uśmiecham się przez łzy. - Już drugi raz w ciągu roku słyszę to zdanie.

Lekarz patrzy na mnie przenikliwymi oczami. Widzi, że coś mnie zabolowało. Dodaje:

- Dziecko z autyzmem jest jak wieża. Samotne, z pozoru niedostępne. Może pani chodzić dookoła tej wieży i nigdy nie zobaczyć drzwi prowadzących do środka. Może pani ujrzyć te drzwi, wejść, a i tak w środku znów chodzić schodami dookoła, nie posuwając się ani centymetr ku górze. My damy pani narzędzia, dzięki którym wszystkim będzie łatwiej.

- Nie wiem czy to dobre porównanie. Z tą wieżą. Kojarzy mi się z niewolą. Kaźnią i cierpieniem.

- A może z szerszą perspektywą? - lekarz uśmiecha się. - Jakimś nowym widokiem albo schronieniem i bezpieczeństwem? Proszę tak na to spojrzeć.

Lekarz pomylił się. To nie był najgorszy dzień mojego życia. Najgorszy jest ten, w którym Kubuś dostaje pierwszego ataku epilepsji. Zwiesza głowę na bok i uchyla usta, z których cieknie strużka piany i jedzenia. Jestem pewna, że się dusi, biorę go więc pod pachy, jest sztywny jak żeliwny pręt. Sama drętwieję, ciemno robi mi się przed oczami. Kubuś traci przytomność, a ja jestem pewna, że umarł. Po chwili otwiera oczy. Ani on, ani ja nie wiemy, co się dzieje.

- Epilepsja - wyjaśnia lekarz. - Zdarza się w autyzmie. Ataki mogą być regularne.

I są.

Oglądam Kubusia z kuchni, znoszę do domu kolejne monety, najlepiej z innych państw. Dużo ćwiczymy, ale bywa też tak, że razem milczymy i wpatrujemy się w widok za oknem przez niemal dwie godziny ciągiem.

Dzwonię do mamy, gdy któregoś dnia Kubuś obraca resorak podwoziom w dół i powoli jedzie autkiem po dywanie.

Po ośmiu miesiącach jestem gotowa, żeby zostawić Kubusia z kimś na trzy dni. Musiało się na to złożyć kilka rzeczy: Kubuś dawno nie miał ataku epilepsji i zaczęłam wierzyć, że jakimś sposobem nie będzie mieć już kolejnych. Adam znów zaczyna szukać kontaktu z synem. Zabiera go coraz częściej do siebie, a ja widząc, jak dobrze się nim opiekuje, zaczynam mieć spokojną głowę. No i przyjeżdża do mnie mama po sanatorium, opalona, z nową energią. Mówi do mnie:

- Ty też byś gdzieś pojechała. Cztery lata nie ruszyłaś się z domu dalej niż na drugi koniec miasta.

- Ale Kubuś... - zaczynam, a później jakoś łatwo przychodzi mi wyszukanie miejsca, w którym chcę spędzić trzy dni sama ze sobą. Adam bierze syna do siebie, mama zagląda do nich popołudniami. Ja spędzam dwa dni w Świeradowie-Zdroju, wystawiając twarz do słońca i płacząc z poczucia ulgi, gdy popołudniami nie mam nic do roboty. Łazę bez celu po lasach, witam się z nieznanymi rowerzystami, którzy mnie mijają i wypijam pół butelki wina przed południem.

Trzeciego dnia idę pod najwyższą w kraju wieżę widokową. Chcę wejść na nią spokojnym krokiem, wciągnąć powietrze w płuca i nie stracić go, ale tracę,

bo z każdym wydechem z moich ust wydobywa się obłoczek pary. Jest chłodny październikowy ranek, wierzchołek lasu przybiera miodową barwę.

Wyciągam butelkę wody i biorę dwa łyki. Wtedy dzwoni mój telefon. Tak mało z niego korzystałam na wyjeździe. Dało mi to radość.

- Cześć - mówi Adam. Słyszę, że ma ściśnięte gardło i mokre oczy. - Słuchaj, Kubuś nie żyje... Atak, w nocy... Byłem przy nim.

I gaśnie. Nic więcej nie potrafi powiedzieć. Dusi go szloch, który stara się stłumić przyciśniętą do ust dłonią.

Stoję pod wieżą. Moim przekleństwem. Płataniną podestów zakręcających co chwilę w drugą stronę, a później znów: zwrot sto osiemdziesiąt stopni i tak cały czas w górę. Z dołu to wygląda jak jakiś szaleńczy labirynt albo poplątane macki ogromnej ośmiornicy. A później widzę mózg: fałdy i zwoje kotłują mi się nad głową, metalowy szkielet wieży to neurony, połączone, zwarte, bez żadnej szczeliny w śrubach. Każda szczelina byłaby czymś niebezpiecznym w takiej konstrukcji, prawda? Wieża mogłaby runąć, mózg przestanie działać, a fałdy stałyby się jedynie bezużyteczną stertą drewna i stali.

Ale na razie wieża pulsuje ludźmi i ich rytmicznymi krokami. Tuptają po podeście, dzieci śmieją się, aż metalowe neurony wibrują.

Nie mam siły, żeby płakać, choć oczy napęłniły mi się łzami. Jak mrugnę, to nikt i nic mi nie pomoże. A mam jeszcze kawał drogi na szczyt. Kubuś nie żyje? Na górze zrobię sobie zdjęcie na szklanym podeście i wyślę мамie.

Może pofrunę? Bariery nie są wysokie, wystarczy lekko się podciągnąć i przełożyć jedną nogę. Ściągnę plecak, żeby być lżejszą, może nawet rozepnę polar, jeśli to miałyby w czymś pomóc. Pomoże, ślizgnę się nad wzgórzem. Taki rozpięty polar zadziała jak żagiel, będzie większy opór powietrza. To wydaje się całkiem rozsądne. Poszybuję w dół, może znów ustawię się w kolejce, żeby jeszcze raz wejść na wieżę. I dalej będę starała się nie mrugać.

A jak nie odleczę?

Jak nie odleczę i uderzę o ziemię, to wtedy zastanowię się, co dalej.

To też brzmi rozsądnie.

Maria Kocot

# Chłopiec z wieży

Do studia wszedł przygarbiony staruszek, podpierający się laską.

– Panie Witoldzie możemy już zaczynać? Czy jest pan gotów, aby wrócić do tamtych chwil? – młoda, elegancka redaktor poprawiła okulary na nosie.

– Czy jestem gotowy wrócić do przeszłości? – powtórzył pytanie starszy pan. Zamyślił się przez jakiś czas, po czym rzekł powoli:

– Ja przecież nigdy nie zdołałem wyswobodzić się z jej jarzma. Przeszłość stała się kajdanami, które skłuły na zawsze moje ciało i mój umysł. Kiedy wydaje mi się, że już udaje mi się z niej wyswobodzić, nagle w moich snach, ona wraca niczym realny koszmar. Naznaczyła swoje piętno na całym moim życiu. Teraz, po tylu latach, jestem gotowy opowiedzieć moją historię. Moja historia, to wieża nienawiści budowana przez tragiczne wydarzenia, które dorzucały do niej coraz to nowe cegiełki. Czy chce Pan wiedzieć, jak runęła ta wieża?

Redaktorka uśmiechnęła się pobłaźliwie, biorąc słowa staruszka za domenę jego wieku. Tymczasem oczy seniora zaszklily się, zaszły mgłą, jakby chciały zmyć z nich cały ból, który się w nich skrywał. Patrząc przed siebie, starszy pan rozpoczął swą opowieść:

– Lipcowy poranek czterdziestego drugiego był wyjątkowo słoneczny. Promienie pieściły swym ciepłym dotykiem moją twarz, kiedy wołałem co sił w płucach: „Kuuurier Warszaaawski”,

„Kuuurier”!!! Tego dnia gazeta sprzedawała się świetnie. Jednak to nie zyski zaprzętały moje myśli. Wraz z chłopakami mieliśmy wieczorem wykonać pewną robotę. Wie pani, taką jak zawsze. Trzeba było rozrzucić garść ulotek pod kwaterą gestapo na Szucha. Jak dla mnie „bułka z masłem”. Myślałem wtedy, że jestem nieśmiertelny, bo zawsze mi się zwiac udawało. Ryzykowałem wiele, wiadomo. Ale cóż. W tych czasach tak było trzeba. Tylko matki mi żal było. Ona nic nie wiedziała, że ja do „Wawra” należałem. Myślała, biduła, że ja na komplety do pani Hermanowej w tym czasie chodzę. A we mnie gorąca krew płynęła, ona nakazywała mi walkę ze znieprawdowanym okupantem. No bo cóż i oni sobie myśleli? Że my polscy chłopcy ze spuszczonej głowami patrzeć będziemy na łapanki, akcje AB i prześladowanie Żydów? Nigdy! Pókim żyję będę za naszą Polskę walczył! Boże, czegoż ja się wtedy nie podejmowałem!

– Panie Witoldzie proszę o tym opowiedzieć – redaktorka przerwała nagle opowieść seniora.

Staruszek zaśmiał się sam do siebie, kiedy wciągając powietrze, rzekł z dumą:

– Wie pani, ja w trzydziestym dziewiątym maturę zdawałem. Z rachunków to może i orłem nie byłem, ale rysować, droga pani, to ja potrafiłem! Oj tak! Na sztuki piękne chciałem zdawać. Tyko we wrześniu ten Adolfik z wąsikiem mi przeszkodził. Nic już nam wtedy nie było wolno. No więc zamiast szkicować zapierające dech w piersiach krajobrazy, przyszło mi rysować na murach swastyki powieszzone na szubienicy. Ba, stałem się autorem portretu świni w mundurze oficera SS. Arcydzieło zdobyło przez kilka dni mury kina na ulicy Moniuszki, zanim oni go nie zmyli. To cacko wyszło mi najlepiej, oj przysięgam – pan Witold zaśmiał się jak z najlepszego dowcipu, po czym dodał:

– Wie pani, oprócz tego na maszynie przepisałem sto razy tekst: „Marszałek Piłsudski powiedziałby: A my was w nosie mamy”, a potem rozrzuciłem na Marszałkowskiej. Wie pani, jakie oni mieli miny, czytając to? Tak, droga pani, dla takich momentów warto było wtedy żyć, choćby kula miała mnie zaraz trafić.

Oczy redaktorki spojrzały z podziwem na staruszką, który uprzedził jej pytanie:

– Chciałaby pani zapytać, czy się bałem? Oj, droga pani, oczywiście, że tak. Aż mnie brzuch skręcał ze strachu. To nie jest tak, jak wy myślicie dzisiaj. Przecież myśmy byli wtedy młodymi chłopcami, czuliśmy, kochaliśmy i też odczuwaliśmy strach. Nie byliśmy tam jakimś gigantami. Myślę, że gdyby dzisiaj Ojczyzna była w niebezpieczeństwie, to byście te swoje smartfony czy inne cuda odłożyli i za broń chwycili, jak my wtedy... Tak, tak...

Pan Witold zasępił się przez chwilę, po czym po dłuższym milczeniu kontynuował swą opowieść:

– Potem nadszedł ten słoneczny, bezchmurny, sierpniowy dzień. Wie pani, ja tego feralnego dnia wyszedłem wcześniutko rano. Bo ja kino zagazować miałem, gdzie oni te swoje filmy propagandowe oglądali. Oczywiście zrobiłem to bez wiedzy matki. Matuli powiedziałem, że ja na rachunki do Hermanowej idę, tam na Brzeską. A ona patrzyła na mnie jakoś tak dziwnie, tak inaczej.

– Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy żyją takie chłopaki, jak mój Witek – rzekła do mnie i przytuliła z całych sił. – No idźże synku na te rachunki, tylko uważaj na siebie. Przyjdź przed godziną policyjną, ja będę wyglądała na ciebie oknem.

Tego dnia akcja udała się nam wysmienicie. W kinie Adria rozpyliliśmy gaz wywołujący wymioty. Uff, jakże oni z tego kina uciekali! Niby tacy nadludzie, a wymiotowali na ulicy po tym gazie, jak każdy normalny człowiek. Widać, że rasa panów nie do końca była taka silna! – pan Witold odchylił głowę i zaśmiał się cynicznie, po czym nagle spowaźniał.

– Potem wydarzyła się ta tragedia. Przed godziną policyjną, wróciłem do domu, tak jak matuli obiecałem. A ona w oknie stoi. Wie pani, myśmy taką tradycję mieli, że jak wracałem, to ona w oknie stała i swoją haftowaną chusteczką do mnie machała. No to podchodzę pod to okno, a ona faktycznie tam stoi. Tylko zamiast chusteczki, ręką do mnie macha, tak nerwowo, jakby chciała mi dać znać, żebym odszedł.

Wtedy nasze spojrzenia spotkały się. Po raz ostatni... A potem nagle z tego okna zniknęła. Stałem tak nieruchomo pod tym oknem. Po chwili... – pan Witold ściszył głos i zaszlochał:

– Po chwili usłyszałem krótki strzał. Jeden...

## CISZA

Głos pana Witolda załamał się i przeszedł w przejmujący płacz. Jednak po chwili staruszek otarł mokre od łez oczy i kontynuował swoją przejmującą opowieść:

– W tym momencie poczułem, jak ziemia osuwa mi się spod nóg. Początkowo pragnąłem pobiec tam, rzucić się na nich, kopać i gryźć ich. Chciałem krzyczeć co sił w płucach. Ale stałem pod tym oknem jak skamieniały, milcząc... Trwałbym tam jeszcze dłużej, lecz nieoczekiwanie poczułem na swoim ramieniu czyjąś ciepłą dłoń. Niczym anioł stróż, owa dłoń chwyciła moją rękę i zabrała mnie daleko z miejsca tragedii. Jak we śnie moje nogi zaniósły mnie na ulicę Nalewki. Dopiero tam usiadłem na kostce brukowej i się rozplakałem. Jak baba, przysięgam.

– Stary, otrzyj łzy – dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że na ulice Nalewki nie przyszedłem sam, że ktoś podał mi pomocną dłoń. Właścicielem owej dłoni okazał się Janek, mój druh, z którym przeprowadzałem akcje. Chłopak rzekł do mnie:

– Wituś, przyłącz się do nas, partyzantów. Wszyscy czujemy ten sam gniew, co ty. Oni zabili i nasze matki. Teraz naszą matką jest Ojczyzna.

Spojrzałem na Janka. W jego oczach tańczyło tysiące ogników palających wołą walki. Naraz poczułem, jak wstępuje we mnie życie. Wiedziałem już, jaka będzie moja droga.

– Panie Witoldzie, poszedł Pan do partyzantki?

– Ach, droga pani redaktor, stałem się jednym z nich. Wie pani, to była taka wielka leśna rodzina, spięta nienawiścią do wroga. Ile myśmy wtedy akcji przeprowadzili! Moglibyście nawet filmy o tym nakręcić! Lubicie teraz takie emocje? Prawda? Ale wtedy to było prawdziwe. Bijące w rytmie naszych gorących serc.

Pan Witold spojrzał na redaktorkę przenikliwym wzorkiem i zapytał:

– Słyszała pani kiedyś o brawurowej akcji oddziału AK „Jędrusie”. Robiliśmy więzienie. Wie Pani, takie w starej wieży?

Kobieta opuściła wzrok i ze wstydem zaprzeczyła.

– Zamieniam się w słuch, panie Witku – rzekła cicho.

Oczy pana Witolda zaszklily się i popatrzyły na kobietę przenikliwym wzorkiem, a po chwili staruszek nabrał powietrza i rzekł z dumą:

– Było nas szesnastu. Wszyscy młodzi i żądni zemsty jak ja, wszyscy z oddziału „Jędrusie”. Wie pani, wiosną czterdziestego trzeciego, ziemię sandomierską dotknęły

aresztowania. Do więzienia w Mielcu trafiło wielu naszych. Próbowaliśmy ich nie raz odbić, wiadomo, ale to proste nie było. Jednak nasz dowódca, Józef Wiącek pseudonim Sowa, przyjął wyzwanie. Myśmy wtedy z chłopakami siedzieli w bunkrze, zbudowanym pod samotną chałupą, nieopodal Iwanisk. W tamtym okresie, właściwie byliśmy głodni nowych zadań, które mogłyby nam urozmaicić monotonię leśnego życia. Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy 27 marca nasz dowódca kazał nam wstać skoro świt i poważnym tonem zakomunikował:

- „Robimy” wieżę w Mielcu, chłopaki! Wymarsz za dwa dni o świcie!
- Tak jest! – zasalutowaliśmy zgodnym chórem.

Wcześniej z sukcesem zakończyła się nasza akcja odbicia więzienia w Opatowie, stąd mieliśmy nadzieję, że i ta z wieżą pójdzie gładko. Wieczór przed akcją był wyjątkowo ciepły. Zewsząd czuło się już zapach wiosny. Rozsiadliśmy się na leśnej polanie i podziwialiśmy gwiazdy.

– Ta największa to moja siostra Inka. Zabili ją w czterdziestym pierwszym na Szucha! – krzyknął nieoczekiwanie mój druh Janek. – To ją właśnie chcę pomścić.

– A tamta, obok twojej gwiazdy, to ciotka Wandzia, zabita w ramach akcji AB – zawtórował mu inny z kompanów. – Jutro będziesz ciociu pomszczona!

– Za matulę – krzyknąłem nagle. – Ta świecąca z prawej, to moja matula. Ją pomszczę. Nie odpuszczę żadnemu z nich! Rzucę ich na kolana!

Zamknąłem oczy. Wydawało mi się, że mama gładzi mnie po kędzierzawej czuprynie, jak wtedy, kiedy byłem małym dzieckiem. Przysięgam, wydawało mi się, że czuję zapach jej lawendowych perfum.

Rankiem o świcie, dowódca podzielił nas na sześć grup. Pierwsza miała opanować i rozbić więzienie w wieży. Mnie wcielono do drugiej. Naszym zadaniem było zabezpieczenie wieży. No i droga pani, wyruszyliśmy rano, chyba ósma trzydzieści wtedy wybiła. Garstka nas była, ale i co z tego. Gorące serca potrafią więcej niż niemiecki karabin. Na wschód koszarowali żołnierze Wehrmachtu, a koło dworca mieścił się posterunek żandarmerii. Obok wieży, którą chcieliśmy rozgromić, znajdowała się kwatera gestapo. Jednak dla nas nawet i to nie stanowiło przeszkody. Broń i amunicję wieźliśmy na wiejskiej furmance pod dużą ilością słomy. A tego 29 marca nagle deszcz zaczął lać, jakby płakał naszymi łzami. Koła furmanki lepiły się w glinie, a my do przejechania mieliśmy ze trzydzieści kilometrów.

Bramę wieży wysadził dowódca wraz z „Bobem” czyli Zbysiem Kabatą. Udało się dopiero za drugim razem, pierwszy wybuch tylko zawiasy naruszył. A potem to już poszło z „płatka”. Strażnicy poddali się, tych biednych, skatowanych przez nich więźniów wypuściliśmy. Część z nich przyłączyła się do nas, partyzantów. Strzelaliśmy na oślep jak szaleni. A oni? Jak szczury z wieży pouciekali. A potem już z kwatery gestapo pruli na oślep, bo przecież amunicji im nie brakowało.

Pan Witold roześmiał się srebrzyście, odgarniając siwy kosmyk z pomarszczonego czoła:

– Wie pani, to była taka zabawa w „kotka i myszkę”. Oni myśleli, że Bóg jeden wie, ilu nas było. A nasz szesnastoosobowy oddział „Jędrusie” oprócz gorących serc posiadał raptem kilka granatów oraz broń długą. Dysproporcja sił była rażąca. Nasza spektakularna walka trwała ponad trzy godziny. Z uciekinierów z wieży nie oszczędziliśmy nikogo z nich... prawie nikogo... – przy wymówieniu ostatniego słowa pan Witold ściszył głos i odwrócił wzrok, jakby się czegoś zawstydził.

Jednak reporterka podchwyciła jego spojrzenie i zapytała nieoczekiwanie:

– Panie Witoldzie, co znaczy to ostatnie słowo „prawie”?

– Aaaa... – starszek odwrócił wzrok i machnął ręką jakby od niechcenia.

Nieco zmieszany, po chwili z ociąganiem kontynuował:

– Chciałem ich wszystkich, co do jednego, powybić. Jak muchy. Otworzyłbym ogień do każdego Niemca. Tak ich nienawidziłem. Dlatego wróciłem do wieży, sprawdzić czy przypadkiem któryś z nich nie został. Początkowo z satysfakcją stwierdziłem, że powybijaliśmy wszystkich. Co do jednego. I nagle usłyszałem głos, jakby kwilenie: „Bittee...” Odwróciłem się, a tu szkopek młody w kącie się kuli. Jakąż ja wtedy satysfakcję czułem. Zaśmiałem się tak głośno, że miałem wrażenie, że wieża rży razem ze mną ze śmiechu.

Potem podszedłem bliżej. Nie patrząc na jego twarz, szarpnąłem go. Przyłożyłem pistolet do jego głowy. Krzyknąłem: „Ku chwale Ojczyzny, skazuję cię na śmierć”.

W tym momencie, przez niewielkie okienko w wieży wpadło światło. Odwróciłem głowę. To gwiazdy świeciły tak mocno. „Matula!” wyrwało mi się na widok jednej z gwiazd. Dopiero wtedy przyjrzałem się mojemu zakładnikowi. To był dzieciak prawie, na oko siedemnastolatek. Trząsł się ze strachu, jak w febrze. Czułem siłę. Teraz to ja miałem przewagę, ja dyktowałem warunki. Z radością załadowałem karabin: „To za mamusię” syknąłem przez zęby, patrząc na gwiazdę, widoczną przez małe okno wieży. Już miałem odpalać, kiedy nagle zobaczyłem, jak chłopak kuli się ze strachu, a z jego kieszeni coś wypada na zimną podłogę. Po chwili przyjrzałem się, co to takiego. Była to poźółłka fotografia. Podniosłem ją. „Meine liebe Mutti” usłyszałem jęk młodego żołnierza. Faktycznie, na fotografii widniała uśmiechnięta kobieta, a w ręku trzymała chusteczkę, taką jak moja matula. Patrzyłem na zdjęcie otwartymi oczyma. Przez chwilę zapomniałem, gdzie się znajduję, zapomniałem, że jest wojna. Wydawało mi się, że słyszę, jak moja matka woła moje imię. Gwiazdy świeciły tak intensywnie. Nieoczekiwanie podniosłem płaczącego chłopaka z ziemi i objąłem go mocno: „Próżno płakać chłopcze, wszystko próżno. To się niebawem wszystko skończy. Twoja Mutti jest z moją i patrzą teraz na nas z nieba” – wskazałem na okienko wieży. Chłopak spojrział na mnie bładoniebieskimi, zapłakanymi oczami, oszołomiony tym, co się dzieje. Wydawało mi się, że oto obaj jesteśmy jeńcami, zakładnikami w tej wielkiej wieży zbudowanej ze zła. Lecz teraz ona runęła w moim sercu niczym talia z kart. „Uciekaj! Szybko! Może kiedyś po woj-

nie znowu będziemy na tym świecie wszyscy braćmi”. Młodzieniec patrzył na mnie przez chwilę, po czym wyszeptawszy „danke schon”, uciekł przed siebie w popłochu. Zostałem sam w wielkiej, chłodnej wieży. Zamknąłem oczy. Czułem, że matka patrzy na mnie i uśmiecha się. Wtedy zrozumiałem, że droga do ukojenia własnej duszy nie prowadzi przez zemstę, a przez wybaczenie. Budowanie wieży nienawiści powoduje, że wszyscy stajemy się w niej więźniami swoich lęków i uraz. Chcąc się zemścić, lepiej od razu wykopać dwa groby. Przez małe okienko wieży, spojrzałem w niebo. Zachmurzyło się nagle i spadł rzęsy deszcz. Wtedy krzyknąłem co sił w płucach: „Deszczu nie da się zatrzymać, ale ludzi można”.

Katarzyna Kownacka

# Uwięziona

Bez niecierpliwego wyczekiwania wpatrywała się w szklankę wypełnioną coraz ciemniejszej barwy płynem. Błady, słomkowy kolor najpierw stał się wysyconą, brudną żółcią, a potem zyskał odcień matowej czerwieni. Zwinięte jeszcze kilka minut temu w szeleszczące ruloniki liście herbaty rozwijały się w gorącej wodzie, poddając się jej pokornie, jakby z błogą przyjemnością. Pęczniały rozkosznie, z minuty na minutę, i niespiesznie opadały na dno przezroczystego naczynia, w którym rozgrywała się ta scenka.

Odczekała spokojnie, aż wszystkie, nawet najdrobniejsze listki, znajdą się na dole szklanki i dopiero wtedy wykonała dwa niewielkie, okrężne ruchy łyżeczką. Wyrazisty dźwięk metalu, uderzającego o ścianki naczynia wypełnił ciszę i potoczył z kuchni niewielkim korytarzykiem do pokoju, i dalej w kierunku otwartego balkonu, od strony którego do jej niewielkiego mieszkania wlewała się wilgotna rześkość poranka. Poczula chłód wokół kostek, których nie oplatały ciepłe, niskie bambosze. Słyszała ptasi skrzek i pisk, zagłuszany raz po raz przez coraz bardziej intensywny szum samochodów. Bezruch lekko mglistego świtu zmieniał się właśnie w pełen kakofonii dźwięków dzień. Do jej uszu docierały odgłosy krótkich wymian zdań, odbywających się właśnie kilka pięter niżej pod blokiem, w którym mieszkała, niewywnych powitań mijających się na klatce schodowej sąsiadów i odpalanych silników wyruszających w swój codzienny rejs aut. Od czasu do czasu na pierwszy plan wybijały się pohukujące gołębie. Przez chwilę rozszczękał się zajadle pies wyprowadzany na krótki, poranny spacer. Gdy choć na moment cichły dźwięki z zewnątrz, wyraźnie słyszała tykający głośno zegar zawieszony na ścianie głównego pokoju. Tik... tak... tik... tak... tak... tak... – miarowo odmierzał czas.

Powoli, z wysiłkiem, wspierając się oburącz, wstała w końcu i oparła się o stół. Poczula ból w kolanach, łokciach, kostkach i kręgosłupie. Złapała łapczywie haust powietrza. Zakodowała bezsilność swoich mięśni – jakby składała się z samych, oblezonych skórą kości. Kilka sekund stała tak zgarbiona, uspokajając oddech i tętno. Następnie, z uwagą wpasowując szczupłe, blade palce w ucho szklanki, chwyciła naczynie. Dała jej chwilę, by tak jak jej oddech, uspokoiła się tafla rubinowego już teraz płynu. Drugą ręką wsparła się o stojącą obok stołu szafkę i wyruszyła w kierunku pokoju. Po każdym kroku czy dwóch opierała się o sobie tylko znajome punkty na ścianie, na framudze po drzwiach, których dawno już nie było, na oparciu niewysokiego fotela i drewnianej ławie. Szukała ich jak zwinny wspinacz, który dotykając kolejnych fragmentów stromej skalnej ściany, wyłapuje na niej niewielkie bruzdy, szczeliny i wyłomy, chwyta się ich mocno i opuszkami palców podciąga

naprężone ciało o kolejne centymetry wyżej i wyżej. Ona też szła dalej. Krok za krokiem, mebel za meblem. Czuła tępy ból w suchych stawach, ale starała się o nim nie myśleć jeszcze przez chwilę. Koncentrowała się na pokonywanej przestrzeni i szklance z herbatą, która stawała się coraz cięższa i coraz wyraźniej oddawała ciepło. Oddychała krótko, jakby połowicznie. Wreszcie dotarła pod samo okno, uważnie postawiła szklankę z herbatą na małym stoliku i powoli wpasowała się w równie niewielki fotelik.

W jej dwudziestokilometrowym mieszkanku takich niewielkich mebli było całkiem sporo. Na wprost wejścia do pokoju stała rozsuwana sofa w kształcie litery L, na której piętrzyła się teraz złożona na cztery kołdra i rzucona na nią poduszka. Przykryte były prześcieradłem i narzutą. Chowała je co kilka dni, tylko wtedy, kiedy według jej wyliczeń miały przyjść dzieci – żeby było czysto i żeby miały gdzie usiąść. Rozsuwała wtedy sofę, walcząc ze znajomym bólem stawów, wkładała pościel do pojemnika i zsuwała oporny mebel. Na co dzień po prostu kładła bety na krańcu sofy i okrywała je wełnianym kocem, wygładzając go jak najlepszą koszulę. Obok sofy, z jednej strony, stała niewielka komódka, wypełniona pościelą, ręcznikami, obrusami i zapomnianymi serwetkami. Z drugiej – nieduża, przeszklona witryna. W zastygłych pozach prezentowały się w niej wysokie, masywne szklanki, małe literatki ze złotą obwódką na rancie i pękate pucharki do deserów z ciętego szkła. Były też dwa niewielkie, zdobione złotymi obwódkami kieliszki do koniaku na krótkich nóżkach i cztery duże kielichy do wina – z królewskiego kryształu, dziś nieco już staromodnego. Tyle ich zostało z dawnych czasów, gdy jej dawny dom wypełniały nie tylko śmiech dzieci, ale też gwar wielogodzinnych biesiad. Uśmiechnęła się na ich wspomnienie... Tik... tak... tik... tak... – przywołał ją do porządku niezmeńczony mechanizm zegara.

Naprzeciw witryni stał mały, kawowy stolik z przeszklonym blatem i drewnianą półeczką poniżej blatu, a po obydwu jego stronach – dwa okrągłe foteliki. Ten, na którym zwykle siadała z poranną herbatą, ustawiony był tuż przy balkonowym, otwartym teraz oknie. Był jak bocianie gniazdo i centrum dowodzenia w jednym. Mogła z niego obserwować to, co dzieje się za oknem, a jednocześnie mieć na oku całe swoje mieszkanie – dziś cały jej świat.

Prawie z niego nie wychodziła ze względu na słabą sprawność. Każda wizyta u lekarza raz na kilka miesięcy była jak wyprawa na ośmiotysięcznik. Musiała być dobrze zaplanowana i przygotowana. A prócz czasu na dojazd i samą wizytę trzeba w niej było uwzględnić czas na zejście cztery piętra w dół – zawsze z czyjąś asystą, dojdzie do zaparkowanego samochodu któregoś z dzieci, a potem powrotny atak na szczyt – czyli wejście do mieszkania na ostatnim piętrze czterokondygnacyjnego bloku. Dlatego jej kontakty ze światem zewnętrznym były ograniczone do absolutnego minimum. A to, że w ogóle istniał, wiedziała na co dzień dzięki zmysłom wzroku i słuchu.

Siedząc w fotelu, całymi dniami nasłuchiwała odgłosów z klatki schodowej, wsłuchiwała się w dźwięki dobiegające z podwórka i cierpliwie śledziła codzienne serwisy. Wszystko tu miała w zasięgu ręki. Tuż za fotelem, w bambusowym stole w kształcie uchylonej książki, leżały kolorowe gazety, które przynosiły jej dzieci „żeby się mama nie nudziła”. Czytała w nich setki nic nieznaczących historyjek, może nawet nieprawdziwych, o życiu tych, których oglądała na szklanym ekranie. Na dolnej półce kawowego stolika tłoczyło się kilka ułożonych równo i wypełnianych skrętnie książeczek z krzyżówkami. Był też plastikowy koszyczek z podręczną partią leków, zażywanych codziennie – co do minuty o tej samej porze oraz kryształowa miseczka na trzech małych, kulistych nóżkach wypełniona cukierkami w kolorowych, szeleszczących papierkach. Najchętniej wyluskiwała z nich miętowe albo słodkie landrynki, których posmak długo czuła w ustach. Na szklanym blacie stolika leżała natomiast okrągła, uwita z trawy podkładka pod szklanę, czarny pilot do telewizora, na którym, spośród kilkudziesięciu tajemniczych guzików używała ledwie czterech oraz telefon komórkowy – z dość dużym ekranem i dużymi przyciskami, na których wryte były sporej wielkości cyferki. Dzieci sprawiły jej go na gwiazdkę. „Dzięki temu będziemy z mamą w ciągłym kontakcie i będziemy spokojniejsi. Mama nie będzie musiała biec do szafki z telefonem stacjonarnym, by odebrać, a my nie będziemy się obawiać z każdym kolejnym nieodebrany dzwonkiem, że coś się stało. Komórkę włoży sobie mama do kieszeni fartucha, zabierze do kuchni, nawet do łazienki, i będzie ciągle w zasięgu”. Potem był instruktaż: co i jak odbierać – gdy dzwoni, jak wybierać ich numery – gdy chce się z nimi połączyć. Później trochę śmiechu przy dobieraniu dzwonka i pierwszych testach. No i częste telefony przez cały styczeń: „Jak się mama czuje, co słyhać. I widzi mama – nie taka ta komórka straszna”. Była też radość i duma, gdy wreszcie to ona do nich zadzwoniła. Stawy bolały ją w te dni jakby mniej, a w mięśniach było więcej energii, gdy słyszała radosne głosy po drugiej stronie słuchawki.

Z czasem przestała jednak sama wybierać połączenia. Zawstydziła się, bo dzwoniła najczęściej jakby nie w porę. Raz i drugi usłyszała: „Mamusi, coś się stało? Jestem teraz w pracy, oddzwonię wieczorkiem”. „Mamo, jestem na spotkaniu, zadzwonię potem”. „Potrzebujesz czegoś? Może napisz esemesa”. Do Wielkanocy – a Wielkanoc była wcześniej tego roku – z telefonu jakby uszło życie. Milczał długimi godzinami i dniami. Tik... tak... tik... tak... – wypełniał ciszę po dzwonku telefonu niestrudzony zegar.

Przymknęła oczy i zaciągnęła do płuc większy łyk już nie tak chłodnego, jak kilkanaście minut temu, powietrza. Potem wypuściła je wolno, sięgnęła po szklanę z herbatą i ostrożnie wzięła do ust łyżeczek gorącego napoju. Delektowała się smakiem i chwilą ciszy. Z letargu codziennego, porannego rytuału wyrwał ją klakson, którego opodal użył jakiś zniecierpliwiony kierowca. Odstawiła herbatę i niesiona ciekawością wstała, nie zważając na ból, jaki temu towarzyszył. Takiej atrakcji, być

może najbardziej emocjonującej dziś, nie mogła przegapić! Odsunęła firankę i zrobiła dwa kroki naprzód. To wystarczyło, by znalazła się na małym balkonie otoczonym stalową barierką. Rzuciła okiem w kierunku, z którego dobiegł dźwięk klaksonu i chwyciła się zimnej poręczy. Gdy spojrzała w dół zakręciło jej się w głowie. Stroma, pnąca się kilka metrów w górę ściana bloku wyglądała jak mur wysokiej wieży. Takiej z bajek, w której zły czarownik zamyka piękną księżniczkę. Z tym, że zamiast kamiennych obmurowań porośniętych mchem i porostami, jej wieża pokryta była nieco przybrudzoną, żółtą elewacją. Ale więziła ją tak samo, jak ta bajkowa nieszczęsną księżniczkę. Jeszcze raz zerknęła na dół. Złapała się mocniej barierki i łyzy stanęły jej w oczach. Nie mogła stąd wyjść. Te kilka piętér przy jej niesprawnych biodrach, schorowanych stawach i zanikających mięśniach były skuteczniejsze, niż najlepsze cyfrowe zamki świata, kłódki i rygle. Nie trzeba było pod tą wieżą uzbrojonych po zęby strażników, ani barykad. Skutecznie uwięziło ją tu jej ciało. Tik.. tak... tik... tak... – dobiegł ją znajomy odgłos.

Odwróciła się i weszła do mieszkania. Usiadła na fotelu, upiła kolejny łyk herbaty, która już nie parzyła i sięgnęła po książkę leżącą na stosie krzyżówek. Otworzyła ją w miejscu, w którym wczoraj skończyła czytać, odszukała akapit, przy którym przerwała i przeczytała kilka linijek. – Czemu Bóg nie zabrał mi wzroku albo słuchu, tylko uczynił kaleką, dla której przejście z kuchni do łazienki jest jak zdobycie wielkiej góry – pomyślała nagle ze złością. – Czemu zabrał mi moc poruszania się. Czemu nie mogę wyjść do sklepu, do parku, na spacer. Czemu nie mam raka, tylko ten bezwład! Czemu siedzę tu zamknięta! – krzyczały jej myśli.

Tik... tak... tik... tak... – przywoływał ją do porządku bankier mijającego czasu. Znów wzięła kilka głębokich oddechów, upiła łyk herbaty i sięgnęła za fotel, po wiklinowy koszyk pełen miękkich, kolorowych motków włóczki. Wyciągnęła ostatnią robótkę, nawinęła kilkanaście centymetrów nici na palec wskazujący i zaczęła miarowo dziergać. To był od lat jej niezwodny sposób na to, by się uspokoić. Prawe, prawe, lewe, prawe, prawe, lewe – liczyła bezgłośnie. Druty posłusznie tańczyły swój taniec, a puszysta dzianina opadała ciężko na kolana. Oddech się uspokajał, a w ślad za nim myśli. Tik... tak... tik... tak... – słyszała odgłos przesuwającej się wskazówki i próbowała przerabiać kolejne oczka w wybijanym przez tę wskazówkę tempie.

Nie zawsze tak było – przypomniało się jej. Do małego mieszkania na czwartym piętérze w starym bloku bez windy wprowadziła się kilkanaście lat temu. Namówiły ją do tego dzieci. „Będziesz bliżej nas, w tym samym mieście” – mówiły. „Będziemy mieć cię na oku, będziemy częściej wpadać”. Sprzedała więc dom, który zbudowali przed lat z nieżyjącym od dawna mężem i kupiła kawalerkę. Trafiała na okazję, ktoś chciał dobić targu szybciej. To, że mieszkanie jest wysoko, na ostatnim piętérze, kwitowała wtedy śmiechem. – Trochę ruchu mi się przyda – mówiła.

Starość przyszła niepostrzeżenie. Cieszyła się z dobrych wyników krwi, zdrowego serca, prawidłowego ciśnienia, a przeoczyła coraz bardziej zaśniedziałe stawy.

Minie – myślała, gdy pojawiał się ból. Wezmę tabletkę, wypiję suplement, posmaruję maścią i przejdzie. Lekceważyła puchnące kostki, rwanie w dole kręgosłupa i wrażenie suchości w stawach biodrowych i kolanowych, przechodzące z czasem w tępy ból. Dziś trudno jej było przypomnieć sobie, kiedy tak naprawdę przestała wychodzić z mieszkania, które zamieniło się w końcu w jej miejsce odosobnienia. Jeszcze dwa, może trzy lata temu co trzy-cztery dni wychodziła po zakupy, a w niedzielę do parku. Potem robiła to coraz rzadziej i rzadziej. Zakupy coraz częściej robiły dzieci. Zamiast iść na pocztę czy do banku – dawała im też pieniądze z emerytury, a one przelewem opłacały rachunki. Nie protestowała, bo dzięki temu bywały regularnie, choć raz czy dwa razy w tygodniu.

Przerwała robótkę i spojrzała na komodę z obrusami. Stało na niej kilka ramek ze zdjęciami tych, na których czekała codziennie. Z jednego promiennie uśmiechał się syn. Opalenizna na jego twarzy szykownie kontrastowała z białą koszulką polo z granatowymi wstawkami. W jednej dłoni dumnie trzymał raketę do tenisa, a drugą ścisnął dłoń pokonanego przeciwnika. Ten tenis to była jego odskocznia od pełnej stresu biznesowej codzienności, dobrze skrojonych, drogich garniturów, w których chodził na ważne spotkania i ciągłych wyjazdów w różne strony świata. Na drugim zdjęciu, tuż obok, równie serdecznie śmiała się buzia córki – eleganckiej blondynki z długimi włosami. Te włosy piękną kaskadą spływały jej spod czarnego, kwadratowego biretu z zawadiacko zwisającym chwostem. Jej duma – pani doktor. A oprócz tego szczęśliwa mama i żona. Dbająca o dom, dzieci i swój rozwój. Z masą domowych i zawodowych obowiązków, które wypełniały jej czas. Na środku stało duże zdjęcie całej rodziny skupionej wokół niej. Były na nim wnuki, małżonkowie córki i syna, a nawet dwa psy. I ona – na foteliku, na którym teraz siedzi, szczęśliwa, uśmiechnięta. Dalej było zdjęcie sprzed ponad dwóch dekad – jej męża z dziećmi, które wtedy miały po kilka lat. Tik... tak... tik... tak... Ile to już lat minęło! Aż trudno uwierzyć. Dzieci zdążyły urosnąć, wydorosnąć, przepłakać pierwsze, drugie i trzecie nieudane miłości, skończyć studia, zwiedzić kawał świata i założyć rodziny.

Nie odczuwała tak boleśnie ich codziennej nieobecności dopóty, dopóki była niezależna i mogła sobie zorganizować czas: spotkać się z koleżankami, iść do fryzjera, załatwić sprawę w spółdzielni albo przychodni, zrobić zakupy. Owszem, bywało jej przykro, że nie w każdą niedzielę wpadają na tradycyjny obiad czy choćby kawę z jej popisową szarlotkę. Ale rozumiała ich chęć poznania świata, pragnienie kolejnych osiągnięć. Jednak im mniej sprawna była, tym więcej miała czasu na to, by tęsknić. Im bardziej zmniejszało się, naturalną koleją rzeczy grono jej znajomych, tym bardziej pragnęła obecności bliskich. A gdy to pragnienie nie było zaspokajane czasem targała nią złość i bezsilność, a czasem lęk, niema rozpacz, która paraliżowała jeszcze bardziej, niż niesprawne mięśnie i zniszczone stawy. Siedziała wtedy całymi godzinami bez ruchu i wpatrywała się w niewidoczny punkt przed siebie. Ciszę pustego mieszkania zagłuszała dźwiękami włączonego telewizora, nie notując nawet,

co akurat serwuje nadawca. A gdy się okazywało, że taki pusty i głuchy dzień się kończył, czuła ogromne zmęczenie. Tak duże, że często resztką sił przechodziła z fotela na sofę i nie rozsuwając jej, nie ścieląc, owijała się kocem, opadała na złożoną w kostkę pościel i zasypiała wyczerpana. Tik... tak... tik... tak... – słyszała tuż przed zaśnięciem. Tik... tak... tik... tak... – roznosił się w jej głowie natarczywy dźwięk. Tik... tak... tik... tak... – jakby dzwoniły krople uciekającego czasu.

Z letargu wyrwał ją ostry dźwięk otwieranego zamka. Nim zdążyła wstać, w pokoju stanął syn – opalony i uśmiechnięty, jak na zdjęciu z tenisową rakietą. Ubrany w gładko wyprasowaną, błękitną koszulę, wąskie spodnie od garnituru w kolorze oksydowanej stali i plecione, brązowe, wiązane buty. – No i po co mama wstaje, przecież mogę wejść sam, żebyś nie musiała iść – cmoknął ją w policzek w biegu. – Przyniosłem ci chleb i kilka produktów, bo pewnie już nie masz. Jajka od baby i świeże borówki. Lubisz, prawda? Znów coś dziejesz! To super, nie przerywaj sobie. Ja muszę lecieć, jadę na spotkanie. Wpadnę w weekend. Wszystko dobrze?

Nie zdążyła zanotować wszystkich reakcji swojego organizmu, ani odpowiedzieć na padające pytania. Nie zdążyła dojść do kuchni, w której syn wypakował kilka spożywczych produktów na stół i do lodówki. Nie zdążyła zaproponować herbaty czy kawy. Nawet ucieszyć się nie zdążyła. Wpół drogi do kuchni spotkali się w małym korytarzu. Znów cmoknął jej wiotki policzek, rzucił szybkie: „To cześć mamuś, w razie czego dzwoń” i znów usłyszała chrzest metalowego zamka w drzwiach i dźwięk zatraskującego się mechanizmu. Stała tak dłuższą chwilę, uspokajając oddech. Nie wiedziała, czy przyspieszył przez wysiłek i ból stawów, czy sprawiła to radość z wizyty, czy zawód, że ta wizyta już się skończyła. Stała, łapiąc powietrze i wpatrując się w uparcie nieruchome drzwi. Wytężyła słuch, by sprawdzić, czy słyhać jeszcze odgłos obcasów, a potem dźwięk zatraskujących się drzwi klatki schodowej. Wreszcie do jej świadomości dotarło bolesne pulsowanie w skroniach i przeszywający ból bioder, kolan i kostek. Ugięła się pod ciężarem swojego drobnego ciała i mocniej chwyciła się ściany. Rozejrzała się i uznała, że bliżej będzie jej do kuchni. Ruszyła w kierunku kuchennego stołu i stojącego przy nim krzesła, gdzie niedawno czekała, aż zaparzy się poranna herbata. Szła z trudem, jakby na jej wątłych plecach ktoś zawiesił coś ciężkiego. Znów chwyciła dłonią niewidzialne punkty na ścianie, by złapać równowagę. Znów walczyła z tym, by nie poddać się bólowi i brakowi sił. Gdy dotarła, chwyciła się parapetu kuchennego okna i na chwilę spojrzała przez nie w dół, na chodnik tuż przy wejściu do klatki. Był pusty. Opała ciężko na siedzisko. Czekiła aż uspokoi się jej oddech, myśli przestaną galopować, a rwanie w stawach minie. Na stole leżał bochenek szlachetnie brązowego, pachnącego chleba z połyskującą pięknie skórką. A obok stało niewielkie, plastikowe wiaderko wypełnione dorodnymi borówkami. Ciemny granat owoców pokrywała jasna śniedz, gwarant świeżości. Patrzyła na nie, bo tylko one były dowodem na to, że wydarzenia ostatnich kilku minut miały miejsce naprawdę.

A może ten chleb i borówki leżały tu od wczoraj...? Może zostawiła je tu na noc, by wyglądały, jakby właśnie ktoś je przyniósł...?

Tik... tak... tik... tak... – dotarło do jej uszu i świadomości.



Tomasz Kozłowski

# Wernisaż

Właśnie wychodziłem spod prysznic, gdy zagrała melodyjka mojego telefonu.

– Słucham – odezwałem się po naciśnięciu zielonego kółeczka.

– Witaj Jacku, myślę, że mnie pamiętasz – niski, matowy głos przenikał moje ciało. Oczywiście, że pamiętałem... Pojechałem do niej, do Kielc, zrobić wywiad z młodą, dobrze rokującą malarką. To było jak burza, jak ulewa, która pojawia się znikąd...

– Chcę cię... zaprosić na swoją wystawę. Będą tylko moje prace w całej Wieży. Wizyta twojego „DeArte”? Wernisaż odbędzie się szesnastego, dokładnie za tydzień. Galeria Wieża Sztuki – tłumaczyła, jakby decyzja o moim przyjeździe już zapadła. Ona mówiła o obrazach, a ja miałem przed oczami wspólnie spędzone chwile.

– Tak, będę – szepnąłem do słuchawki.

\*\*\*

Wpisałem wujkowi Google: „galeria w Kielcach”, po tym co wyskoczyło, szybko dopisałem „galeria sztuki”. Jest: Galeria Wieża Sztuki, tuż przy dworcu PKP, to miał być punkt charakterystyczny, tak mówiła dziewczyna.

Napisałem SMS-a do Katarzyny: „O której rozpocząć?”

Odpowiedziała: „Za pół godziny, będziesz?”

Ja: „Już jestem.”

Odpowiedź: „Wow, super, ooch, cudownie, czekam cię”.

Czytałem proste słowa i jakbym słyszał jej podniecający głos...

Galeria Wieża Sztuki zlokalizowana jest w zabudowanej klatce schodowej, dawniej prowadzącej na kładkę nad torami. Kładkę zlikwidowano, kiedy wybudowano tunel łączący centrum z resztą miasta. Sama galeria mieści się na trzech kondygnacjach, powierzchnia może niezbyt imponująca, ale ciekawie zaaranżowana. Katarzyna trochę przesadziła, twierdząc, że tylko jej prace będą prezentowane, choć faktycznie jedna kondygnacja i część schodów obwieszona była jej obrazami. Po oficjalnym wstępie słowo o swojej twórczości powiedziała sama autorka i nie omieszkała przedstawić krytyka sztuki, redaktora uznanego periodyku „DeArte”, czyli mnie. Wówczas goście podzielili się na trzy grupy: jedni oblegali artystkę, drudzy mnie, zabiegając o wzmiankę o swojej twórczości w ogólnopolskim magazynie, trzeci kontestowali tak mnie jak i malarkę – to po co przyszli?

Po niecałej godzinie goście zaczęli wychodzić, jedni po „angielsku”, inni ostentacyjnie, żegnając artystkę, ja wdałem się w zaangażowaną dyskusję z właścicielem Wieży, dzięki czemu pozbyłem się nagabywaczy. Katarzyna zaś coraz częściej zerkała

w moją stronę. W końcu mogliśmy porozmawiać. Ujęła mnie za rękę, wyzwalając dreszcz i spytała:

– I co?

– Zostanę do jutra – odrzekłem pod wpływem jej dotyku, uroku i mej niepomowanej chuci.

– Co sądzisz o obrazach? – obruszyła się.

– Szczerze?

– Tylko tak.

– Są... niesamowite, zadziwiające. Znam twoje abstrakcje i tego się spodziewałem, a tu... Co prawda opowiadałaś, że próbujesz malarstwa figuralnego, scen rodzajowych, ale pokazywałaś „wyzwolone emocje”. Wtedy komplementowałem twoją twórczość, bo... hmm... na początek potrzebowała ona dobrej prasy. Jednak to co tu pokazałaś, przeszło moje wyobrażenie: choćby ta „Szwaczka”, jej mentalne zestawienie z „Mleczarką” Vermeera. Tam lało się mleko, a tu sztuka atlasu przesuwawała się pod ruchem stopki, igła co rusz przebijała płynącą rzekę materiału, a wszystko wyłania się z nierealnych, nierzeczywistych kształtów, z kosmosu, z chaosu. Świetne. Pamiętam twoją fascynację tym malarzem. I udało ci się, połączyłaś swoją szaloną fantazję z jego kunsztem co do szczegółów, wyjątkowej gry światel i cieni. Porobiłem trochę zdjęć, notatek, napiszę ci dobry artykuł i zareklamuję w Warszawie. Twoje malarstwo warte jest salonów stolicy – nieco żartobliwie zakończyłem pean na jej cześć.

– Właśnie, Vermeer. Muszę ci coś opowiedzieć, coś niesamowitego. Tylko tobie mogę to wyznać. Poczekaj na mnie chwilę, pożegnaj gości. Pójdziemy do mnie.

– Dobrze – zaintrygowała mnie tą niesamowitą historią tylko dla mych uszu. Czy to nowy rodzaj gry wstępnej żeby się pobzykać?

Wyszedłem, na dworze zapadał zmrok, powietrze stawało się chłodniejsze po upalnym dniu. Czekałem kilkanaście minut; na zmianę myślałem o Katarzynie i jej obrazach. Było w nich coś pobudzającego wyobraźnię, pamiętam „Pasjans”, wpatrzony w to dzieło tworzyłem własną historię.

– Przepraszam, trochę mi zeszło z właścicielem Wieży, włożył w ten wernisaż wiele pracy i pieniędzy, nawet za wino zapłacił, zrobił mi bardzo dobrze tą wystawą.

Zadziwił mnie ten sposób budowania zdań, jakby zawsze chodziło o seks.

– Chodźmy, w domu mam butelkę Malagi, wiem, że rozsmakowałeś się w słodkich, ciężkich winach.

Tak... Przy pierwszym naszym spotkaniu tak mnie raczyła tym winem, że aż zamroczyła, a potem to już nie mogło się stać inaczej – spłynął na nas dreszcz dreszczy.

Kiedy już zamknęliśmy za sobą drzwi mieszkania bez większego wstępu zacząłem obściskiwać Katarzynę, delikatnie acz stanowczo odsunęła się:

– Poczekaj – znów ten aksamitny, ciepły głos.

Usadowiła mnie w starym głębokim fotelu, pamiętającym nasze pierwsze spotkanie. Zrobiło mi się gorąco, chciałem...

– Masz – zamiast siebie wcisnęła mi w ręce wielki kieliszek pełen wina. I chyba w obawie bym znowu nie zaczął się do niej dobierać, bez wstępu rozpoczęła swą opowieść.

– Wygrałam w konkursie plastycznym stypendium w Japonii, niewiele z niego wyniosłam, ale poznałam Nauczyciela, Tabuchi Yasukazu, prawdziwy japoński mag. On znał moją miłość do Vermeera! Kazał namalować drzwi, takie jak do siedemnas-towiecznej komnaty i... przez nie przejść!

Popatrzyłem na Katarzynę najpierw z wyrazem zdumienia, potem zaciekawienia.

– I co przesłaś?

– Nie od razu, ale w końcu udało się, trafiłam do pracowni Vermeera.

– Jana Vermeera, który zmarł prawie trzysta lat temu?

– Tak! Jeszcze dobrze nie zdążyłam ochłonąć, opanować szaleństwo myśli, rozejrzeć się po pracowni, kiedy On wszedł.

– Tymi samymi drzwiami? – nie skrywałem ironii.

– Nie inaczej. I zaczął coś mówić podniesionym głosem. Nic nie rozumiałam, bo mówił chyba po holendersku. Ja bąknęłam po francusku: Jestem malarką. Chcę się uczyć u ciebie, Mistrzu.

– Jesteś Francuzką? Ale skąd tutaj? Czyżby gildia cię przysłała? Mogli mnie uprzedzić.

Stał naprzeciwko mnie zaskoczony moją obecnością, zszokowany ubiorem, przyglądał się uważnie mojej twarzy, musiałam odbiegać urodą od typowych Holen-derek, no choćby moje kocie oczy.

– Skąd jesteś? – spytał.

– Z daleka, z bardzo daleka.

– Jak masz na imię?

– Katarzyna, Katarzyna Kardaś, Mistrzu.

– Czy już się gdzieś uczyłaś malować? Umiesz przygotowywać farby, trzymać pędzel?

Bez słowa wzięłam czysty pędzel ze słoja, podeszłam do sztalugi, na której był szkic jakiegoś obrazu – jego plan. Krótkimi pewnymi pociągnięciami „na sucho” udawałam nakładanie farb. Potem wzięłam najcieńszy z pędzli i w miejscu, gdzie ołówkiem naniesione były sznury pereł, delikatnymi, punktowymi dotknięciami imitowałam tworzenie refleksów światła na małych okrągłych kuleczkach.

– Skąd znasz tę technikę? – nie krył zdziwienia, przecież tylko on tak malował.

– Widziałam „Mleczarkę”, właśnie tak odtworzyłeś spęknięcia na bochnie chleba, Mistrzu.

– Ale jak? Skąd? Dopiero co sprzedałem ten obraz Van Rijvenowi.

Milczałam i tylko moje oczy prosiły: „weź mnie... ucz, Mistrzu.” Chyba poskutkowało.

– Czy umiesz robić farby? To jest podstawa dobrych kolorów, tajemnica pięknych barw – mówiąc to, poprowadził mnie drewnianymi schodami na stryszek. Na wielkim drewnianym stole stały moździerze, szklane misy, w lnianych woreczkach trzymał różne pokruszone skały, kamienie lub rośliny, a nawet wysuszone sproszkowane owady. Pokazał mi, jak przygotowuje się pigmenty różnych kolorów, od ochry przez odcienie sjeny aż po głębokie, ciemne umbry, całą gamę barw niebieskich i jego ulubioną ultramarynę, uzyskiwał ją z lapis lazuli – kamienia bogów. Chłonełam przekazywaną wiedzę, policzki mi płonęły, oczy stawały się coraz większe, brałam w palce zmielony kamień, badałam jego miąższość, pocierając palec o palec, miałam ochotę spróbować go językiem.

– Kolor trzeba samemu zrobić, stworzyć i kontrolować, czuć, kiedy jego intensywność blednie, kiedy płowieje na świetle, wiedzieć, co powstanie, gdy zmieszasz purpurę z amarantem...

– Przecież to barwy tej samej gamy! – po krótkiej chwili namysłu dodałam.  
– Purpuramant!

Oboje zaczęliśmy się śmiać, miał poczucie humoru.

– A umiesz rozpoznawać kolory po ich zapachu? Ziemistą umbrę czuć ziemią cmentarną, ultramarynę polnym chabrem a róż..

– Tak, znam zapach bladego różu... To zapach kwiatów japońskiej wiśni.

– To subtelny, delikatny zapach dziewczęcej niewinności, a gdy kwiat dojrzeewa, jego płatki lśnią wilgotnym karminem – pachną kobietą.

– Za to cynober to zapach dojrzałego pomidora, to zapach mężczyzny w rozkwicie – odważnie podjęłam wyzwanie.

– A ja tkwię w gorsetach i kaftanach zapiętych pod szyję – odrzekł. – Jedyna cielesność to dojrzałe brzoskwinie, gorący ogrzewacz stóp czekający, aż ktoś go wypełni sobą – od zapachów przeszedł do erotyki swoich prac, a właściwie braku erotyki.

– A kafelki na podłodze w „Mleczarce”? – zaskoczyłam go, ale kiedyś dokładnie obejrzałam ten obraz.

– Masz rację, jednak sama widzisz, jak małe są to sceny, ledwo widoczne, ledwo czytelne. Imponujesz mi Katarzyno, bardzo dobrze znasz moje obrazy, czujesz barwy, pędzel w dłoni też trzymasz pewnie... Czego chcesz się nauczyć ode mnie?

– Malować tak jak ty, Mistrzu, tak pięknie. Tworzyć obrazy realne, rzeczywiste, spokojne, a jednak pełne emocji, czasem widocznych, czasem głęboko skrytych. Wszystkie moje dotychczasowe próby kończyły się abstrakcjami.

– Nie wszystko rozumiem, z tego co mówisz, ale wiem, że czujesz moje obrazy. Jesteś pojętną uczennicą, z każdym pociągnięciem pędzla zbliżasz się do poznania tajemnicy tworzenia dzieła. Bo widzisz, obraz wymaga zrozumienia i pokochania...

A właśnie, delikatniej podejść do szczegółów, niech to będą muśnięcia, ledwo wyczuwalne dotknięcia pędzla, iskrzące się punkciki, dające luminację, migotanie. Światło jest rozproszone, ale perły z łatwością odnajdują każdy jego promień i oddają ze zdwojoną siłą.

– Janie – z zewnątrz dobiegł męski głos.

– Już schodzę – zawołał szybko. – Poczekaj tu, maluj, rozmówię się z patronem i dokończymy lekcję.

\*\*\*

Siedziałem nieruchomo w fotelu nadal z pełnym kieliszkiem wina, nie wziąłem ani łyka, chęć czy chuć dawno gdzieś uleciały. Patrzyłem na tę dziewczynę jak na zjawę nie z tego świata, nie z tej epoki – uczennica Jana Vermeera. Przecież nie wierzyłem w tę historię, przecież... Miałem przed oczami jej obrazy, każdy jakby dotknięty ręką mistrza z Delft. Choćby „Pasjans” – kobieta siedząca przy stoliku nad talią kart. Wyraźne były tylko trzy czy cztery karty, odmalowane z pietyzmem, widać było nawet stopień ich zużycie, zniszczenia – to był kolejny pasjans tej kobiety. W powietrzu zawisała dłoń z jedną kartą do położenia, nie widać jaka to karta, ale czuć, że najważniejsza dla całej rozgrywki. Dłoń kobiety jest dojrzała, lekko postarzała, z szeregiem wyraźnych żyłek, ale niezniszczona fizyczną pracą, odmalowana tak precyzyjnie, tak szczegółowo, że nie powstydziliby się sam Vermeer czy Matejko. Dalej strój postaci zlewał się z tłem, ledwie można było rozpoznać, że łączy rękę z twarzą. Ta wyłaniała się z ciemnej przestrzeni, z kosmosu. Twarz nie była już tak precyzyjna, wyraźna; kobieta dojrzała, zmęczona nieprzespanymi nocami, czekaniem, tylko oczy były wyraziste, szukające właściwego miejsca dla karty trzymanej w dłoni. Tego jedyne miejsce, a może te oczy szukały drogi, odpowiedzi – którędy należy pójść dalej, dokąd? Ten moment zawieszenia, zastygnięcia pasował do „Ważącej perły” – tam była chwila równowagi szalek, u Katarzyny moment tuż przed wyborem. A reszta, tło, pozostałe karty zamieniały się w nieczytelne plamy, kobieta ledwie zaznaczona cieniem, wcale niełatwa do dostrzeżenia bez uważnego oglądu obrazu, im bliżej ram to wszystko zaczynało wirować, pojawiły się mocne, długie pociągnięcia pędzla o wyrazistej fakturze. To płynne przejście od laserunku w centrum do impastu na obrzeżach, gdzie dominowała faktura, mięsiste kładzione kolejne plamy, kolory przecinające się z każdym śladem pędzla czy nawet szpachli. Pamiętałem jej wcześniejsze prace – właśnie to były ślady tamtej twórczości, gdzie ekspresja, niepohamowana, niekontrolowana emocja wylewała się na płótno, nawet wchodziła na ramy, była to jedna wielka walka uczuć, emocji – wcale nie taka czytelna i estetycznie spójna. Nastąpiła przemiana, wielka przemiana. Patrzyłem na malarkę, która wie, co chce powiedzieć, przekazać, a przy tym ma warsztat, umiejętność malowania techniką holenderskiego mistrza. Jej prace potwierdzały opowiedzianą historię. Niemożliwe, to tylko urojenia artysty.

Dopiero teraz pociągnąłem duży łyk z kieliszka, wstałem, bez słowa poszedłem do toalety. Myjąc ręce, przetarłem twarz zimną wodą. Długą chwilę stałem przed lustrem, oglądałem jej kosmetyki na półeczce, jakbym szukał śladu jej pobytu tam, w tamtej pracowni. Nic.

W pokoju dopiero teraz dostrzegłem wstający dzień, był dobrze ukryty za zasłoniętymi oknami, jednak promienie wczesnojesiennego słońca przebijały się przez szpary. Katarzyna zajęła moje miejsce w fotelu, wtulona w moje ciepło, które zostawiłem, zasnęła. Z podkulonymi nogami, ręką podłożoną pod głowę. Drobną, bezbronna dziewczynka – uczennica Jana Vermeera. Otuliłem ją swetrem leżącym na taborecie i po cichu wyszedłem.

Na dworze przywitał mnie chłód poranka, orzeźwił ciało, ale myśli nadal były w holenderskiej pracowni. Przeszedłem tunelem na drugą stronę miasta, wyszedłem przed dworcem kolejowym, jeszcze raz popatrzyłem na budynek galerii. Wieża Sztuki – fajna nazwa. Skręciłem ku dziwnemu budynkowi, którego dach przypominał durszlak z bąbelkami wody, tam czekał już bus do Warszawy.

Joanna Madej

# Zabawa w chowanego

**Breslau, lipiec 1933 r., ulica Hohenzollernstrasse**

Dziesięcioletni Andreas Wolf leniwie przeciągnął się i uśmiechnął pod nosem. Czas wolny od nauki, a przede wszystkim od nauki gry na pianinie był bezcenny. Za chwilę mama zawoła go na śniadanie, wypije tylko kakao i pobiegnie się bawić z kolegami na podwórku. Mama jak zwykle pokręci głową, że nic nie zjadł i swoim zwyczajem pogłaszcze go po płowych włosach. Pani doktorowa nie będzie zachwycona, że jej Andy zadaje się z synem żydowskiego szewca i praczki i ich znajomymi. Tyle razy już mu mówiła, że to nie jest dla niego towarzystwo, że lepiej jakby został w domu, pouczył się rachunków, poczytał. Jest jeszcze wątły i często choruje. Nie raz i nie dwa małżonek musiał stawiać mu bańki i co roku wyjeżdżali do wód do Ober Salzbrunn, aby podreperować zdrowie chłopca. Wiedziała wszakże, że jak tylko zobaczy łzy w błękitnych oczach swojego dziecka to niechętnie, ale ulegnie. Zawsze ulegała. A potem po powrocie syna do domu mówiła, że to był ostatni raz, kiedy pozwoliła mu się bawić z tymi dziećmi.

Próbowała o tym porozmawiać z mężem, ale on nigdy nie miał czasu. Doktor Karl Wolf od rana do późnego popołudnia pracował w szpitalu położonym na tej samej ulicy. Był cenionym chirurgiem, ratował ludziom życie, a sprawy wychowania syna zostawiał żonie. Ursula Wolf postanowiła, że dzisiaj mąż musi jej wysłuchać i nie da się jej zbyć zmęczeniem, czy innymi wymówkami. Pan domu usiadł na atlasowym krześle w salonie i czekał na podanie obiadu. Kukułka w starym, drewnianym zegarze dawno wykukała pięć razy godzinę piątą po południu. Doktor przejrzał „Schlesische Zeitung”, jego ulubioną gazetę z porcją nowinek kulturalno-obyczajowych. Wyjął z kieszonki swój złoty zegarek zawieszony na łańcuszku i podkreślił ze zdenerwowania wąża. Nagle drzwi się szeroko otworzyły i pojawiła się w nich uśmiechnięta Ursula:

– Mój drogi – zaczęła nieśmiało. Obiad zaraz ci przyniosę, tylko wpierw proszę, abyś mnie wysłuchał.

Po jedenastu latach małżeństwa i ustalonym podziale ról w rodzinie doktor zdziwiony i lekko zaciekawiony podniósł głowę w kierunku małżonki.

– A cóż się takiego stało, że opóźniasz podanie obiadu? Ta sprawa nie może poczekać do jutra? – westchnął głodny małżonek.

Zdecydowane „nie” Ursuli sprawiło, że Karl wysłuchał jej wywodu, ale rady ostatecznie żadnej nie udzielił. Zdołał tylko powiedzieć:

– Jak zwykle przesadzasz i wyolbrzymiasz problem. Andreas niech się bawi, z kim chce. Ja leczę i Żydów, i Niemców, i każdego, kto tej pomocy potrzebuje.

– Ale Karl, z tego będą kłopoty. Co wyczytałeś w tej swojej gazecie? Już pół roku rządzi Adolf Hitler. Żydów nazywają pogardliwie „nie-Aryjczykami”, a ty tak spokojnie reagujesz, że nasz syn się z nimi zadaje?

Ursula nabrała powietrza i chciała coś jeszcze dodać, ale w tym samym momencie do salonu wbiegł umorusany Andreas z wypiekami na twarzy i widząc rodziców razem, wykrzyczał radośnie:

– Ale było wspaniale! Bawiliśmy się w chowanego! Sami i Ryfka nie mogli mnie znaleźć. Ja za każdym razem ich łapałem. Wiecie, gdzie się ukryłem? – spojrzał na rodziców, tak rzadko rozmawiających ze sobą.

Ursula, wyprostowana jak struna nie odpowiedziała. Doktor, nie chcąc robić synowi przykrości, grzecznie zagaił:

– No, chyba w studni w podwórku. Wskoczyłeś do wiadra i spuścili cię w dół.

– Och, tato. Nie śmieję się ze mnie. Znalazłem wspaniałą kryjówkę. Wieżę wodno-widokową, no wiecie, tę na naszej ulicy. Wbiegłem tam po schodach i z góry obserwowałem, jak mnie szukają i nie mogą znaleźć. Musicie tam ze mną kiedyś pójść, co za widoki! Siedziałem tam godzinę, aż w końcu mi się znudziło i po cichu wyszedłem. Nie zdradziłem swojego miejsca schronienia. Może jeszcze kiedyś się przyda! Obiecujecie, że tam razem pójdziemy?

Ursula przytaknęła i zapytała:

– A ty obiecasz mi, że nie będziesz bawił się z tymi dziećmi?

Andreas tonem, który zdecydowanie nie pasował do głosu dziesięcioletniego chłopca, odrzekł matce:

– To są moi przyjaciele. Pamiętasz jak sama mi czytałaś baśń braci Grimm „O czterech muzykantach z Bremy” i ich pięknej przyjaźni. Tam osioł, pies, kot i kogut wyrzuceni przez ludzi znaleźli wspólny cel – zbudowali dla siebie dom. A ja mam tak po prostu porzucić swoich przyjaciół? – z wyrzutem w głosie powiedział cicho chłopiec.

Doktor tylko machnął ręką i wymownie popatrzył na żonę. Ta pospiesznie, z zaciśniętymi ustami, wyszła z salonu i udała się do kuchni.

Ursula obietnicy danej synowi dotrzymała i w niedzielne popołudnie wszyscy razem wspięli się na wieżę, aby podziwiać piękną panoramę miasta Breslau. Miasta, w którym się urodziła ona, Karl i mały Andreas i w którym, miała nadzieję spokojnie żyć i umrzeć. Patrzyła z czułością na chłopca, o którego zdrowie i życie tak się bała. W głowie kielkował jej sposób odizolowania swojego „skarbu” od żydowskich dzieci. Na męża w tej sprawie wiedziała już, że nie może liczyć. Póki co – pomyślała – wywiezie małego do swojej siostry do Berlina na resztę wakacji, a później już tak mu zorganizuje czas, aby nie mógł się z nimi spotykać.

## Wendelborn, czerwiec 1937 r., folwark Kornów

Czternastoletni Andreas Wolf przetarł zmęczone od niewyspania oczy. Szósta rano, pobudka dla wszystkich chłopców niemieckich, biorących udział w przymusowej rocznej służbie wiejskiej, zwanej Landjahr. Z lekką tęsknotą w sercu za wcześniejszymi beztrudnymi latami w domu w Breslau Andreas pospiesznie się ubierał i mył. Nie mógł się spóźnić na poranny apel, później ćwiczenia cieleśne i praca na roli. Dzisiaj będą pomagali przy sianokosach, następnie musi oporządzić konie. W duchu się cieszył, że przydzielono go do koni, a nie będzie musiał karmić świń, czy krów. Duszący zapach chlewu powodował u niego odruchy wymiotne. Był zły na rodziców, że nie pomogli mu się wymigać od wcielenia w szeregi Hitlerjugend. Szczególnie był wściekły na matkę, która z dumą mu powtarzała, że należy do rasy wybranej i to dla niego będzie prawdziwa szkoła męskości. Ojciec, jak zwykle nie miał nic do powiedzenia. Chodził do pracy i wychodził z niej coraz bardziej zmęczony, przygarbiony, z coraz większą ilością siwych włosów. Na wiadomość o wstąpieniu syna do niemieckiej organizacji powiedział:

– No, cóż. Jest to twój obowiązek poświęcenia się dla ojczyzny. Wszyscy młodzieńcy muszą się jemu poddać. Nie rozumiem tego, co się wokół dzieje, ale jak nie wstąpisz do Hitlerjugend, to wsadzą nas do więzienia. Tego chcesz dla nas?

Andreas nie miał wyjścia i teraz w ten czerwcowy poranek wykonywał automatyczne czynności mycia, zakładania munduru, szybkiego przeczesywania włosów.

Dowódca nie znosił, jak któryś z nich nie był dostatecznie umyty lub, nie daj Boże, miał urwany guzik przy mundurku albo niewyczyszczone buty. Obowiązywał wewnętrzny kodeks wychowywania miejskiej młodzieży niemieckiej III Rzeszy na twardych i porządnym obywateli. Jednym z punktów kodeksu był wizerunek młodego Niemca – sprawnego fizycznie, odpornego na ból, elegancko ubranego. Tu na wsi te zasady też obowiązywały. Po pracy na roli czy przy zwierzętach należało się dobrze umyć i godnie reprezentować naród niemiecki.

Andreas nigdy nie zapomni, jak na początku służby na wsi, na jednym z pierwszych apeli, krzywo zapiął guziki od mundurka. Wszyscy jego koledzy się z niego śmiali. Dowódca natomiast zmierzył go surowym wzrokiem i za karę kazał mu codziennie wieczorem przez tydzień czyścić latryny. Najgorzej wspominał jednak czas rekreacji i grę w zdobywanie flagi. Podzieleni na dwie rywalizujące drużyny, mieli zdobyć flagę drużyny przeciwnej. Na nieszczęście dla niego został wytypowany, jako ten, który miał uciekać z flagą i jej bronić. Andreas pierwszy raz w życiu doświadczył agresji fizycznej. Nie wiadomo kiedy, spadły na jego głowę uderzenia zadane pięściami, kopniaki wymierzone w jego nogi i brzuch. Przeciwnicy flagę zdo-

byli, a Andreas był tak pobity i posiniaczony, że długo leżał na trawie bez ruchu. W końcu ktoś do niego podszedł i zapytał: „Wchodziłeś kiedyś na wieżę?”

Andreas w półprzymtomny pokiwał głową, choć nie wiedział, o co tej postaci, którą niewyraźnie widział, chodzi.

– No to dobrze, że byłeś na wieży – powiedział Heinrich, jego dowódca. – Jesteś przyszłością narodu niemieckiego i nigdy nie możesz leżeć, tak jak teraz to robisz. Zawsze musisz patrzeć na innych z góry, tak jak ja to teraz robię, patrząc na ciebie. Tak, jak ty to robiłeś, patrząc z wieży i widząc na dole malutkich ludzi, a przed sobą niesamowite widoki. Gdy będziesz leżał, zawsze cię ktoś kopnie, a to ty masz kopać innych. Jesteś przecież dzieckiem Hitlera. Zapamiętasz?

## **Breslau, listopad 1938 r., ulica Hohenzollernstrasse**

„W nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada bieżącego roku, w odpowiedzi na zamach na sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu Ernsta vom Ratha, którego dokonał żydowski niktzemnik Herszel Grynszpan, na terenie całej III Rzeszy rozpoczęły się działania opresyjne wobec ludności żydowskiej. W mieście podpalono Neue Synagoge, która została doszczętnie zniszczona. Wiele sklepów oraz domów Żydów zdewastowały nasze dzielne bojówki NSDAP. Ulice Breslau pokryte zostały drobnymi kryształkami z wybitych szyb wystawowych sklepów, czy rozbitych żyrandoli. Wielu niepokornych Żydów straciło swoje życie, a dużą ich część odizolowano od prawowitych Niemców, wywożąc do...” – doktor Karl Wolf coraz ciszej czytał małżonce poranne wiadomości i nagłym bezradnym ruchem odrzucił w kąt gazetę „Breslauer Zeitung”.

W pokoju panowała niezmacona niczym cisza. Andreasa nie było w domu. Zazwyczaj gderliwa Ursula położyła swoją dłoń na ramieniu męża i westchnęła:

– Nic się takiego nie stało. Karl, nie dramatyzuj. Nic nie możemy zrobić, to nie nasza sprawa. Na szczęście to nie nasza sprawa – powtórzyła Ursula.

## **Auschwitz, lipiec 1943 r., wieża wartownicza**

Andreas wspinał się po drewnianych stopniach wieży wartowniczej na nocną służbę. Nie był zadowolony, że dzisiaj będzie mu towarzyszył Walter. Ten czterdziestoletni Niemiec będzie zapewne znowu się przechwalał, ilu to zabił Rosjan podczas oblężenia Leningradu. Andreas dziesiątki razy słuchał opowieści, jakim Walter jest bohaterem, dzielnym żołnierzem Waffen SS, który postrzelony w nogę został odesłany z frontu wschodniego do Berlina. Tam przeszedł skomplikowaną operację, która pozbawiła go marzeń o bezpośredniej walce z wrogiem III Rzeszy. Po długim

okresie rekonwalescencji przełożeni wysłali Waltera do Auschwitz do „lekkiej roboty”. Jako wartownik w obozie wiódł spokojne życie. Razem z żoną Bertą i dwójką dzieci zamieszkali nieopodal obozu. Więźniarki żydowskie im usługiwały, a on z racji swojego kalectwa dostawał dyżury nocne na wieży. Fakt, musiał trochę podciągać chorą nogą, ale co to była za praca w porównaniu z frontem. Stał albo przy karabinie maszynowym, albo obsługiwał reflektor. Obserwował, czy żadnemu z więźniów nie przyszła do głowy ucieczka. W długich pasmach światła często widział przemyskające szczury, które wskakiwały do baraków, budząc przerażonych więźniów.

Lipcowa noc była gorąca i duszna. W powietrzu czuć było słodkawy zapach unoszący się z krematoriów. Czarne chmury kłębiły się nad obozem i ta ciemność wchłaniała leżący poniżej obóz koncentracyjny. Walter zaniepokoił się, że chmury zasłonią mu pole widzenia. Zaraz jednak odrzucił od siebie te obawy. Wieża wartownicza to teraz jego drugi dom, ostoja i wytchnienie po trudach walk na wschodzie. Z góry widział wszystko i wszystkich. Tu był panem życia i przede wszystkim śmierci.

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić – pomyślał. W domu nie mówił o swojej pracy. Berta trochę marudziła, że często tu brzydko pachnie, ale czuła się bezpiecznie przy boku męża i dzieci. W końcu byli razem, a przecież rodzina niemiecka musi być silna i zjednoczona.

Z tych rozważań wytrącił go jakiś szelest.

– Czyżby szczury? – szturchnął Andreasa. – Patrz, większe szczury szukają dziś pożywienia i próbują się wydostać z labiryntu. Dziś twoja kolej w zabawę w chowanego. Zobaczmy, czy znajdują jakąś skrytkę. Poświecę ci – powiedział Walter.

Andreas podszedł do karabinu maszynowego. Ciszę nocną przerwała seria wystrzałów, po której znów zapadła cisza.

– Andreas, coś się jeszcze rusza na dole i chowa za barakiem. Strzelaj dobrze młokosie!

– Zejdę z wieży, sprawdzę i dokończę dzieła – wyszeptał Andreas.

– Oszalałeś, twoim obowiązkiem jest służba na wieży, a nie pośród tych szczurów.

– Zaraz wracam.

Andreas zszedł po schodach i udał się w kierunku, gdzie leżały szkielety zabitych kobiet. Podszedł bliżej, aby sprawdzić, czy kolega miał rację, że ktoś jeszcze żyje. Nachylił się nad ogoloną głowę młodej kobiety i zobaczył wielkie oczy, które jakby go rozpoznawały. Andreas też ją poznał, po dużych trzech pieprzykach na twarzy. Pamiętał, że będąc dzieckiem i bawiąc się w chowanego w rodzinnym mieście Breslau, gdy ją znalazł, często te pieprzyki wypominał jej w rymowance:

Trzy pieprzyki ma  
i Ryfka się nazywa.

A ona śmiejąc się, próbowała mu się zrewanżować i śpiewała:

Andreasie , ty głuptasie

Zamknięty w wieży swej,  
Nie oddam ci ręki mej.

Taką rymowanekę wymyśliła, kiedy Andreas zdradził im swoją kryjówkę – wieżę wodno-widokową na Hohenzollernstrasse. Teraz pochylił się nad umierającą Ryfką i usłyszał wyszeptane słowa:

– Nie oddam Ci ręki mej.

Marcin Nadratowski

# Schody w górę, schody w dół

Kurwa, kurwa, kurwa, nie zdążę... Muszę zdążyć, nie mogę znów... Znów nawalić... Życie na włosku, na smutnym ostatnim włosku, wóz albo przewóz, plus albo minus, pieniądze albo nędza, życie albo podżycie.

Podwójna ciągła, mijam zawalidrogę, klakson jeden, drugi trzeci, jadę dalej.

Szybki łyk kawy z papierowego kubka, ocieram pot z czoła, garnitur zdążył się wygnieść, pod pachami wykwitają plamy potu. Capię jak grubas po przebiegnięciu maratonu. Cóż, z tym już nic nie zrobię. Ponoć liczy się dobre pierwsze wrażenie, będę się musiał bardzo postarać, żeby osiągnąć wyżyny zdolności dupolizacyjnych, zaświecić oczami kiedy trzeba, zaśmiać się kiedy trzeba, zapalić papierosa kiedy trzeba, umiem to robić. Robię to całe życie, całe życie gnam od jednego smutnego pana do drugiego – „ależ oczywiście, panie Wójcik, widać że pan ćwiczy, panie Wójcik”, „co za niesamowita inteligencja, panie Wójcik” – zawodowo zajmuję się zeszmacaniem, jestem mokrą ścierką, w którą swoje brudne ego wycierają możni tego świata, a największy szkopuł w tym, że nie potrafię robić nic innego.

Zielone... Żółte... Późne żółte... Czerwone... I moje Audi A6, 120km/h, kolejne klaksony, krzyki, jacyś ludzie na chodniku próbujący spisać numery rejestracyjne, niby tam są, ale jakby ich nie było, twarze zlewają się w jedno obleśne wielkemiejskie lico, każdy ma swoje zadanie do wykonania, całe miasto jest jednym wielkim organizmem, złożonym z setek tysięcy uzupełniających się komórek.

„Elka”. Pieprzona „Elka” akurat przede mną, akurat dziś, akurat na zakręcie, gdzie nie widzę nic.

Gaz, ruch, wycie silnika. Autobus miejski jadący z naprzeciwnika. Pot przenosi się z czoła na nos, z nosa na policzki, z policzków na szyję. Chwilę później czuję się, jakbym wpadł do morza, słona woda zalewa mi oczy, kto wie, może ostatni raz.

Piętnaście metrów, ryk klaksonu, jadę wprost na maskę linii numer 10. Już niemal widzę twarz kierowcy autobusu... Dziesięć metrów. Nie niemal, wyraźnie dostrzegam krzaczastego wąsa, opadającego z każdym ułamkiem sekundy przybliżającym nas do tragedii. Autobus zwalnia, „Elka” zwalnia i tylko ja dociskam pedał gazu. Pięć metrów, serce łomocze mi w klatce, jakby chciało wylecieć, jakby nie pisało się na ten scenariusz – okej idioto, chcesz urządzić sobie rajd, to beze mnie, ja spadam... Cztery metry... Trzy...

W ostatniej chwili odbijam kierownicą, zjeżdżając przed samochód nauki jazdy. Może to emocje, ale mam wrażenie, że zmieściłem się kilka centymetrów od autobusu i raptem kilka milimetrów przed „Elką”.

Udało się. Nie zwalniam.

Gaz, gaz, gaz, przede mną śmieciarka, oczywiście że tak, jakżeby, kurwa, inaczej. Zjeżdżam na drugi pas i od razu wiem, że tym razem się nie uda.

Świat jakby zwalnia, kontury rozmywają się, a ja nie wiem, co robić. Maski tira jadącego z naprzeciwka jest coraz większa. Nie mogę uciec w prawo, gdzie stoi śmieciarka. Patrzę w lewo. Przystanek autobusowy, a tam matka z dziećmi, urocze małe ludziatka, chłopiec kręci kółka wokół rodzicielki z latawcem nieśmiało podrygującym na delikatnym wietrze, w środku kobieta trzyma na rękach małą dziewczynkę, ubraną w piękną, różową sukienkę. Kilka metrów obok, zmęczony życiem pijaczek, z butelką wina nieudolnie schowaną w głęboką kieszeń spodni. Patrzy na rodzinę z uśmiechem na ustach, jakby samo spojrzenie na taką masę szczęścia wynagradzało mu te wszystkie chwile, których on sam nie doświadczył. Na ławeczce starsze małżeństwo, ona pochylona nad krzyżówkami, ze skupieniem na twarzy próbująca rozgryźć kolejne hasło, on z „Przeglądem Sportowym” w dłoniach. Każde sobie, ale razem, stykają się ramionami, najpiękniejszy przykład miłości jaki widział świat. Grupa studentów, pan w sile wieku z aktówką w dłoni, dwie dojrzałe kobiety pochylające się nad sobą i szepczące najświeższe ploteczki z miasta.

Słyszę śmiech, rozmowy, miejski szum, potem już tylko ogłuszający ryk klaksonu ciężarówki.

Wszyscy czekający na autobus, odwracają się w naszym kierunku. Kobiety zaśmiały usta, mężczyźni zaniepokojeni rzucają spojrzenia to na mnie, to na tira.

Patrzę przed siebie. Napis Iveco jest już naprawdę blisko. Zaraz umrę, zginę na miejscu, no i nie zdążę...

Patrzę w prawo, śmieciarka, patrzę w lewo, tłum ludzi, patrzę na wprost, IVECO niczym zapowiedź rychłej śmierci wypełnia niemal całą przednią szybę.

Nie podejmuję decyzji. Decyzję instynktownie podejmują moje dłonie. Odbijam w lewo, wprost na przystanek...

\*\*\*

Obudziłem się... gdzieś. Nie wiedziałem gdzie, nie poznawałem tego miejsca, ale pierwsze na co zwróciłem uwagę, to niezwykła cisza, nieosiągalna w miejskim zgiełku, czyli mojej codzienności. Cisza przerywana jedynie szumem wiatru, sporadycznym ćwierkaniem ptaków, szelestem roślin. Leżałem pośrodku pola, w tym samym garniturze, w którym jechałem na spotkanie z klientem. Właśnie, spotkanie... Jak poszło?

Nie wiedziałem. Pamięć zawodziła, spieszyłem się, owszem, prawie wjechałem w ten autobus, a później...

Prawda walnęła mnie obuchem w łeb. Śmieciarka. Iveco. Przystanek pełen ludzi. Wjechałem w nich, prawda? Nie było innej możliwości. Pamiętałem ten skręt kierownicą, przemykającą z głośnym wizgiem, tuż za tyłem mojego samo-

chodu, ciężarówkę. I twarze. Dzieci, matki, staruszków, wszystkich. Niedowierzanie przeradzające się w przerażenie. Błagalne spojrzenia rzucone w moim kierunku, tyle że było już za późno, nie mogłem nic zrobić. Nie pamiętałem za to samego uderzenia, może to i lepiej.

Z trudem podniosłem się z ziemi. Wokół mnie, jak okiem sięgnąć, w którąkolwiek stronę bym się nie odwrócił, otaczały mnie pola złocistej pszenicy. Nie widziałem żadnych drzew, żadnych pagórków czy dolin. Tylko płaskie jak powierzchnia patelni pole. Nie widziałem też żadnych zabudowań. No, prawie żadnych.

Nie dalej jak sto metrów ode mnie dostrzegłem wieżę. Na pierwszy rzut oka przypominała wieżę ciśnień, choć w odróżnieniu do większości tego typu budynków, składała się z kilku segmentów, tak jakby w środku znajdowało się kilka pięt.

Liczyłem, że to tylko sen, że snem była cała ta zwariowana gonitwa po mieście, że snem jest ta wieża, z każdą chwilą sprawiająca coraz bardziej złowieszcze wrażenie. Wmówiłem sobie, że to sen i tylko w ten sposób zmusiłem do ruchu swoje ciało. Ze snu też trzeba się jednak obudzić, więc nie widząc innej możliwości, ruszyłem w kierunku budynku.

Trawy pszenicy delikatnie owijały się wokół moich dłoni, choć z każdym krokiem zbliżającym mnie do wieży, rośliny były mniejsze, bardziej uschnięte, jakby trawione chorobą. Wiatr przestał wiać, nawet ptaki zdawały się wstrzymać swoje trele, świat zamarł, obserwując moją mozolną wędrówkę.

Stojąc u podnóża wieży zbudowanej z czerwonej cegły, zauważyłem, że z bliska budynek wydawał się dużo mniejszy. Nie dodało mu to jednak ani krzty ciepła, wręcz przeciwnie, na samą myśl o wejściu do środka, włoski stawały mi na karku. Tylko co innego mogłem zrobić?

Odetchnąłem ciężko, dodając sobie otuchy i przekroczyłem próg.

Znalazłem się na u podnóża masywnych, stromych, spiralnych schodów. W budynku nie było okien, jedyne oświetlenie stanowiły porozwieszane na ścianie w regularnych odstępach świece. Powietrze pachniało wilgocią i pleśnią, drewno, z którego zbudowano schody i barierki, wyglądało na przegniłe. Ostrożnie stawiając każdy kolejny krok, ruszyłem w górę.

Stopnie trzeszczały złowieszczo pod moim ciężarem, ale nie przestawałem się wspinać. Wreszcie doszedłem na piętro, gdzie znajdowały się drzwi – nowoczesne, wejściowe drzwi, kontrastujące z wnętrzem wieży. Nie to jednak zdziwiło mnie najbardziej. Wyraźnie wyczuwałem zapach świeżo pieczonego ciasta, który łaskotał moje nozdrza. Zapukałem.

Czekałem minutę, może dwie, ale nic się nie wydarzyło. Załomotałem ponownie, ze środka wyraźnie słyszałem odgłosy krzątania, kroki, chyba nawet ciche nucenie. Ktoś musiał tam być.

Nie do końca potrafiąc wytłumaczyć się przed samym sobą, nacisnąłem klamkę. Drzwi się uchyliły.

Powoli wszedłem do przestronnej, ascetycznie urządzonej kuchni. Przez wielkie okno wpadały oślepiające promienie słońca, mimo to wyraźnie dostrzegłem w oddali budynek toruńskiego ratusza. Zdezorientowany odwróciłem się w kierunku, z którego wszedłem do pomieszczenia. Bez zmian, w tle widziałem stare, obdrapane schody prowadzące zarówno w górę jak i w dół. Ponownie zwróciłem się w kierunku mieszkania.

Nieomal podskoczyłem, kiedy do kuchni wszedł młody mężczyzna w czerwonym fartuchu. Podszedł do piekarnika, uchylił drzwiczki, drewnianym szpikulcem, w starodawnym stylu sprawdził jakość wypieku.

– Przepraszam, nie wiem, jak się tu znalazłem, to jest naprawdę dziwna historia, ale chciałbym, żeby jakoś mi pan pomógł – wystrzeliłem jak z karabinu, kiedy się denerwowałem, mój głos zawsze gnał jak nakręcona zabawka.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nawet nie odwrócił się w moim kierunku. Zupełnie, jakby mnie tu nie było.

Ciszę, która zapadła po wyrzuconym przeze mnie zdaniu, rozdarł dzwonek telefonu komórkowego.

– Halo, słucham? Tak to ja. Coś się stało? – cichy, spokojny głos. Kolejne zdanie mężczyzna wypowiedział jednak zupełnie inaczej. – Nie. Nie. To Niemożliwe. Nie. Nie. Nie. To pomyłka, na pewno pomyłka. Nie. Nie. KURWA NIE! – wykrzyczał na końcu i cisnął telefonem o ścianę. Następnie opadł na kolana. Zaczął lkać, po chwili ryknął. Tak bardzo nieludzko, tak bardzo... Nigdy nie słyszałem czegoś takiego. Nigdy nie słyszałem takiego bólu, takiej bezradności.

Niemal zapominając, że facet nie może mnie przecież zobaczyć, ruszyłem w jego kierunku. I wtedy zauważyłem zdjęcie wiszące na ścianie.

Mężczyzna, ten sam, który klęczał przede mną, a obok niego kobieta i dwójka dzieci. Na zdjęciu wszyscy uśmiechali się promiennie, ale przed moimi oczami pojawił się inny obraz.

Chłopiec z latawcem.

Dziewczynka w różowej sukience.

Matka przytulająca córkę.

Przerażenie w ich oczach...

Balansując na granicy ataku paniki, zataczając się, ruszyłem w stronę klatki. Podskórnie wyczułem, że wiem już wszystko. Zamordowałem ich... A ten mężczyzna, mąż, ojciec, czekający z ciastem na swoją rodzinę, właśnie się o tym dowiedział.

Niemal wbiegłem na kolejne piętro, gdzie napotkałem zwykłe, najprostsze, białe drzwi z dykty. Rozbiegany, rozklekotany, zniszczony od środka, niewiele się zastanawiając, wbiegłem do środka.

Wprost na imprezę w akademiku. Przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Jednostajne łup, łup, łup... Masa młodych ludzi, tak gęsto osadzonych w tak mało przestronnym pokoju, że wydawało się to wręcz fizycznie niemożliwe. I ja,

bez celu przemykający pomiędzy nimi, ignorowany, niby byłem, ale jakby mnie nie było. W pewnym momencie chłopak puszczał muzykę odebrał telefon, jedną dłonią zasłaniając ucho, żeby słyszeć rozmówcę. Rozmowa trwała krótko, a jednak wystarczająco długo, żeby z zaczerwienionej przed chwilą twarzy młodego człowieka uleciały wszelkie barwy. Odłożył telefon, wyłączył muzykę, ku protestom zgromadzonych, protestom, które szybko ustały, gdy tylko pozostali uczestnicy imprezy spojrzeli na chłopaka.

– Ilona, Hubert, Mateusz, Karola, Ilona, Hubert, Mateusz, Karola, Ilona, Hubert, Mateusz, Karola... – szeptał chłopak słabym głosem, powtarzając imiona jak mantrę, jak swoistą modlitwę którą być może jego wypowiedź właśnie była.

Potem padł nieprzytomny na podłogę, wzbudzając konsternację pozostałych studentów, którzy nie wiedzieli, co się stało, ale ja wiedziałem. Kolejne trupy na moim koncercie, kolejne wyrzuty sumienia na barkach.

Z trudem łapałem oddech. Nie zastanawiałem się już czy śnię, czy trafiłem do innego miejsca, gdzieś na granicy światów, miejsca, które ma mi do pokazania tylko ostateczny akt mojego życia, najwyższy poziom mojego osobistego zezwierzęcenia. Nie czułem się źle, źle to słowo tak bardzo nieodpowiednie. Czułem się jakbym zawiódł cały świat. Jakby całe moje życie, od urodzenia, poprzez przedszkole, w którym najszybciej ze wszystkich dzieci nauczyłem się liczyć, poprzez podstawówkę, w której uratowałem koleżankę przed atakiem bezpańskiego psa, aż do liceum i studiów, gdzie byłem najzdolniejszym uczniem i udzielałem się charytatywnie, jakby to wszystko zostało przyćmione tym jednym, ostatnim dniem, kilkoma złymi decyzjami, brakiem odpowiedzialności. Zawsze starałem się być dobrym człowiekiem, a zaprzepaściłem to w ciągu kilku chwil.

Wybiegłem z pomieszczenia, nie czekając na dalszy ciąg historii. Biegłem po schodach, kolejne piętro to potężne dębowe drzwi, zza których usłyszałem szloch. Nie miałem siły sprawdzać czyje to mieszkanie, biegłem w górę, tchórzliwie mijając kolejne piętra.

Zawahałem się dopiero na przedostatnim piętrze. Zza drzwi nie usłyszałem nic. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do pomieszczenia.

Mieszkanie umeblowano w starodawnym stylu. Masywna meblościanka ze sklejki, zajmowała całą ścianę salonu. Szklany stolik stał pomiędzy dwoma bujanymi fotelami. Żółtawe ściany sprawiały wrażenie brudnych, zaniedbanych. Obok foteli zauważyłem dwie wiklinowe szafki na prasę. Jedna wypełniona numerami „Przeglądu Sportowego”, druga pełna krzyżówek, pisemek w stylu „Pani Domu” i poobgryzanych ołówków.

I znów wiedziałem wszystko. Starsze małżeństwo. Tutaj nikt nie wyjdzie nagle z korytarza, nikt na nich nie czekał. Mieli tylko siebie, a ja odebrałem im nawet to.

I nagle całe napięcie opadło. Patrząc na to smutne, puste mieszkanie, przypominając sobie twarze starszków, pełnych wigoru studentów, bezdomnego,

który przecież też miał prawo żyć, zrozumiałem, że zniszczyłem wszystko. Cokolwiek czekało mnie na szczycie wieży, jakakolwiek kara miała spotkać mnie za to, co zrobiłem, zasłużyłem. Zasłużyłem tak, jak nikt nigdy na karę nie zasłużył.

Spokojnym krokiem wycofałem się do wieży i ruszyłem w górę. Zostało najwyższe piętro.

Gdy pokonałem ostatnie schody, dotarłem do pomieszczenia przypominającego nieco szczyt latarni morskiej. Zamiast charakterystycznej aparatury, na środku stało jednak wysokie na dwa metry, stojące lustro w antycznej ramie. Stałem przed nim i spoglądałem w swoje odbicie, które jednak nie do końca odzwierciedlało mój faktyczny obraz. W lustrze byłem nagi, twarz przepełniał ból, liczne blizny pokrywały całe ciało. Po dłoniach spływała krew, a ja wiedziałem, że nie należy do mnie. Krew niewinnych, krew, którą przelałem.

Patrzyłem w lustro, z każdą chwilą czując narastającą wściekłość. Nienawiść skierowaną w jedynym oczywistym kierunku – w siebie.

Zacisnąłem palce w pięść i z całych sił uderzyłem w taflę...

\*\*\*

Budzę się nagle, w pędzącym samochodzie, który prowadzę. Widzę zbliżający się tylni zderzak śmieciarki, lewy kierunkowskaz mruga zachęcająco, połowa Audi znajduje się na lewym pasie.

Wyłączam kierunkowskaz i odbijam w prawo. Wciskam hamulec, samochód z piskiem opon zatrzymuje się metr od śmieciarki.

Sekundę później z naprzeciwka mijają mnie ciężarówka Iveco. Przechodnie, widząc moje niezdecydowanie, brawurę, wreszcie słysząc pisk palonych opon, stukają się w czoło i kręcą z niedowierzaniem głową. Oprócz studentów i chłopca z latawcem, pozostali patrzą na mnie z czymś na pograniczu zaciekawienia i niedowierzania. Po kilku sekundach tracą jednak zainteresowanie, wracając do swoich spraw, szczęśliwi, spokojni, żywi.

Włączam awaryjne i ciężko opieram głowę o kierownicę. Długo dochodzę do siebie. Wreszcie ślimaczym tempem zjeżdżam na najbliższy parking. Gaszę samochód, wysiadam, drżącą dłonią sięgam do kieszeni po paczkę papierosów. Z trudem odpalam jednego i ciężko wydmuchuję gryzący dym.

Na przystanek powoli wtacza się autobus linii numer 20. Chłopiec pospiesznie zwija latawiec, staruszek wstaje z ławki, wkładając sobie pod pachę gazetę i podając dłoń małżonce.

Waham się tylko chwilę. Wyrzucam dopiero co rozpoczętego papierosa i dogaszam podeszwą. Podbiegam do ulicy i upewniając się, że nic nie jedzie, truchtem przebiegam przez jezdnię i wbiegam do autobusu.

Muszę na nich popatrzeć. Na wszystkich tych, których niemal zabiłem. Popatrzeć i zapamiętać. Zapamiętać na zawsze.

Agata Policht

# Wieża śmierci

Przed moim domem stoi kosz... wysoki i czarny. Obok niego stoją inne kosze w różnych kolorach. Zawsze są puste, no chyba że czarny jest już tak pełny, że ludzie muszą wrzucać swoje worki do tych innych. Chociaż niektórzy po prostu kładą je obok. Rozgadałam się trochę.

Na ten wielki czarny kosz patrzę za każdym razem, gdy wyglądam przez okno w moim pokoju. Wszystkie moje koleżanki mogą oglądać za oknem piękne ogrody, domy, a jedna moja przyjaciółka widzi nawet plażę. A ja patrzę na kosz na śmieci. Patrzę, jak kolejna osoba podchodzi do kosza, robi wymach i wrzuca na stertę śmieci swój worek.

„Nikt tu nie pamięta o segregacji“ – pomyślałam. Skórka banana, plastikowe butelki, papierowe gazety, a razem z tym stare jedzenie. Wszystko wymieszane. Każdą z tych rzeczy można by do czegoś wykorzystać... Od zawsze interesowałam się ekologią, choć nie jest to zbyt popularne zainteresowanie wśród moich znajomych i innych ludzi. Czy naprawdę nikogo nie ciekawi, co się stanie z ich butelką, którą wrzucili do kosza? Może stanie się nową butelką? Albo co gorsza, trafi do oceanów? Albo ktoś ją znajdzie i postanowi z niej, coś zrobić? Odeszłam od okna i usiadłam obok mamy, która właśnie siedziała na kanapie i oglądała wiadomości. Pani, która wydawała się bardzo miła, opowiadała o martwych fokach znalezionych na jakiejś plaży.

– Pewnie się zatrwały przez śmieci w oceanach – powiedziałam.

– Możliwe – odpowiedziała mama.

I faktycznie, parę minut później pani wyjaśniła, że foki się zatrwały.

\*\*\*

Każdego dnia, gdy jadę do szkoły mijam złomowisko. Kiedyś nie cierpiałam tego odcinka drogi, ale z czasem zaczęłam się mu przyglądać. Zrozumiałam, że te tony śmieci to tylko jedno z tysięcy złomowisk na świecie. Jest ich mnóstwo i wciąż przybywa. Chciałabym to zmienić, ale co dziesięć latka może zrobić.

Zawsze przyglądam się ludziom w sklepie. Wszyscy mają takie ogromne wózki, a w nich ze dwadzieścia torebek plastikowych. Jednego dnia wszyscy zużyjemy ich tysiące. A potem co? Wrócimy do domów, wyrzucimy je do kosza i nie będziemy myśleć, gdzie trafią. Gdy o tym myślę, mam ochotę krzyczeć. Chciałabym wykrzyczeć, że możemy wszystko zmienić, że możemy zmienić świat na lepsze. Ale nie krzyczę. Inni ludzie krzyczą i nic to nie daje.

## 5 lat później...

Jestem w pierwszej klasie technikum, mam piętnaście lat.

W szkole mamy do zrobienia projekt na temat wybranej wyspy. Postanowiłam, że wyjdę trochę ze schematów i nawiążę do tematu ekologii. Może w ten sposób otworzę oczy chociaż kilku osobom. Wybrałam temat wyspy śmieci. Wyspa śmieci pływa po wodach Oceanu Spokojnego i może mieć nawet 120 ton. Jest ona tak ogromna, a tak mało ludzi zdaje sobie sprawę, że ona w ogóle istnieje. Nawet moja nauczycielka nigdy o niej nie słyszała. Najgorsze jest to, że te wszystkie rzeczy rozpadają się w pył, który jedzą zwierzęta. Wracam myślami do chwili, kiedy razem z mamą oglądałyśmy w telewizji znalezione martwe foki. Od tego czasu wiele razy oglądałam podobne rzeczy, ale tamten moment zapamiętałam najbardziej. Wyspa powierzchnią przekracza niejedno państwo, w tym Polskę. Pani bardzo spodobał się mój projekt i dzięki temu nasza szkoła zaangażowała się w sprzątanie w parkach. Przez trzy dni zamiast lekcji sprzątałyśmy parki, ale ja wiedziałam, że te śmieci nie znikają, nie będzie ich w parkach, ale przecież nie znikną. Moglibyśmy tworzyć inne przedmioty z tych odpadów. Ale nie, my wciąż tworzymy nowe. Wycinamy drzewa i przetapiamy kolejne tony plastiku. Czy tego nie da się już zatrzymać? Czy zmiana jest niemożliwa?

## 10 lat później....

Mam 25 lat, pracuję jako naukowiec przyrodnik, nadzoruję pracę osób, które chronią szczególnie cenne miejsca przyrodnicze. Dodatkowo próbuję wprowadzić w szkołach nowy przedmiot – wychowanie proekologiczne. Niestety, osoby, które nie rozumieją powagi sytuacji, utrudniają mi pracę. A dzieci również nie są zachwycone, twierdzą, że dokładam im jeszcze więcej nauki. Od paru lat trwa epidemia COVID-19. Problem śmieci narasta. Chaos pandemiczny sprawił, że temat jakby nie istniał. Maseczki, rękawiczki to kolejne tysiące ton śmieci. Są wszędzie ale ich nie widać, ukrywają się, by w odpowiednim momencie zaatakować, ale ja je widzę. Gdy mijam złomowiska, plażę, domy, widzę je wszędzie. Cała planeta jest nimi wypchana po brzegi. Nasza gleba, woda jest zanieczyszczona, rośliny, które na niej rosną – także. Warzyw jest coraz mniej, zaczęły drożeć. Wszystko jest coraz droższe, wszystko niedługo będzie skażone. Ostatnio ratowałam mewę, która zaplątała się w worek plastikowy. Mijało ją mnóstwo osób, ale nikt do niej nie podszedł, by pomóc. Czy naprawdę wszyscy oślepli?

## 15 lat później...

Mam 40 lat i naprawdę wiele się zmieniło, pod każdym względem. Władza, dzieci, technologia, edukacja, ubrania, jedzenie – wszystko. Nie można się już kąpać w zanieczyszczonych morzach i jeziorach. Jest coraz mniej wody słodkiej. Lodowce topią się, więc jest coraz więcej powodzi i innych katastrof. Wyspy śmieci urosły na wysokość kilkunastu metrów.

Wracam myślami do mojego szkolnego projektu, w którym opisywałam wyspę śmieci na Oceanie Spokojnym ważącą 120 ton... Dzisiaj to tylko marzenie. Wyspa waży dziesięć razy więcej i już nic nie da się zrobić z tych śmieci, ponieważ przeobraziły się w masę. Łodzie i statki muszą ją z daleka omijać, bo może zawalić się i pochłonie ludzi. Dosłownie. Jest już aż tak źle... Jak na razie śmieci unoszą się na wodzie, ale kiedyś staną się za ciężkie i kto wie, może ta śmieciowa magma zaleje nasz Świat.

Epidemia już minęła, ale na wszystkich wywarła piętno. Dzieci na lekcjach historii się o niej uczą. W szkołach zaczęto mówić o ekologii. Ludzie myślą coraz bardziej proekologicznie. Ale jest już za późno. Planeta zaczyna przypominać sytuację z filmu Wall-e. Ludzie już zapomnieli jak wygląda zima. Naprawdę szkoda mi dzieci, które wychowują się w takich czasach. Nie będą mogły dotknąć śniegu ani pojeździć na sankach. To na nich spadnie ciężar śmieci. Będą znać tylko tę złą stronę Ziemi. Jednak ludzie wciąż prowadzą normalne życie. Starają się przyzwyczać, bawią się, walczą o władzę i stają się sławni... Nie chcę wiedzieć, co będzie kiedyś.

## 20 lat później...

Mam 60 lat. Życie staje się walką o przetrwanie, moje zdrowie powoli szwankuje. Pogoda jest okropna, jest śmiertelnie gorąco. Wszyscy chodzą w strojach kąpielowych po mieście i dla wszystkich jest to normalne. Nie możemy się schłodzić, bo wszystkie zbiorniki wodne są zatrute. Jedzenie trudno zdobyć. Powietrze jest zatrute, nic już nie jest tak jak dawniej. Jednak ludzie nadal walczą. Wydano rozporządzenie, by zgromadzić śmieci w jednym miejscu – na wyspach śmieci. W ten sposób oczyścimy jakąś część Ziemi i będziemy mogli żyć jak dawniej, ale chyba nikt tak NAPRAWDĘ w to nie wierzy. Prawie wszystkie lasy zostały wycięte. Ludzie przeobrażili Ziemię w piekło. Życie to ciągła walka.

## **2 lata później...**

Na ogromnej wyspie śmieci, powstała wieża. Władza zapewnia nas, że jesteśmy uratowani. Budowa zajęła zaledwie dwa lata. Patrząc na nią i nie potrafię uwierzyć, jak bardzo stoczył się świat. Gdy byłam dzieckiem nie myślałam, że ludzie mogą zniszczyć planetę. Teraz wszyscy – a nie zostało nas już wielu, zaledwie parę tysięcy – stoimy na jednym z oczyszczonych kontynentów i zastanawiamy się, jak to będzie. Jak mamy wrócić do normalności? Czym jest normalność?

## **Parę miesięcy później...**

Pewnego dnia bardzo mocno zawiał wiatr, wieża zaczęła się chwiać. W końcu utrzymała równowagę. Myśleliśmy, że niebezpieczeństwo minęło. Nagle, wiatr zawiał z podwójną siłą. Z hukiem przewrócił naszą megatonową wieżę ze śmieci zbieranych i tworzonych przez stulecia. Śmieci zaczęły się rozprzestrzeniać. W kilka minut pokryły całą planetę. Wszyscy zginęli, wszystkich ludzi pochłonęła lawa ich własnych śmieci...

Nagle się wybudziłam, oddychałam niespokojnie. Podbiegłam do okna. Żyjemy. Nie ma wieży. Nadal mam 10 lat. Zrozumiałam – to był tylko sen... Ale czy na pewno? Nie, to było ostrzeżenie. Jeszcze nie wszystko stracone. Możemy uratować świat! Zobaczyłam kolejną osobę, która wyrzuca nieposegregowane śmieci do kosza. Zbiegłam na dół i zaczęłam działać.

Kamila Szmigila

# Wieża Lucyny

Zaraz po wyjściu z samochodu zauważam wysoką wieżę. Tnie niebo jak ostra kość. Wieża nie jest jednak samotna. Towarzyszy jej resztką poniemieckiego pałacu, który obecnie udaje szpital psychiatryczny. Całe to miejsce wygląda groteskowo – niektóre szyby są wybite albo zaklejone dyktą, a dach jest w jeszcze gorszym stanie niż samopoczucie tutejszych pacjentów.

Mimo to matka prowadzi mnie do bramy szpitala w towarzystwie zrzędlivej pielęgniarki. Sama nie dam rady iść. Ważę mniej niż kamień, ale wciąż więcej niż pióro.

– Co to się dzieje z tymi młodymi dziewczynami – mruczy pielęgniarka i kręci głową.

W środku szpitala niewiele zmieniło się od czasów powojnia. Ściany są odrapanie i przeciągnięte tandetną emalią, spod której czasem wychodzi jeszcze ozdobna tapeta dawnego właściciela. Pielęgniarka bierze się za dokumentację, papiery zalewają recepcję, podobnie jak pytanie o wagę i drugie imię. Matka podaje wszystkie słowa bezbarwnym głosem.

To ona zdecydowała, że trzeba mnie oddać. Jej zdaniem jestem za chuda. Tak chuda, że wstydzi się za mnie w kościele i nauczycielki nęka ją uwagami o złym wychowaniu. Prawda jest taka, że chudłam już od wielu lat. Nie mam ładnej twarzy, więc chciałam mieć chociaż ładną sylwetkę. Chciałam wyglądać jak kobiety z okładek. I się zaczęło. Wymiotowałam głośno, żeby mnie słyszała. Wyrzucałam jedzenie, żeby mnie widziała. Ale nie zwracała na to uwagi. Dopiero gdy moja skóra otoczyła kości ciaśniej niż zużyta plastelina, matkę naszły wątpliwości. I tak oto jestem tutaj, bo nie przytyłam ani grama, odkąd skończyła się szkoła.

– Trzymaj się, Weroniko – mówi mechanicznie matka i chce mnie objąć, ale odchodzę w ślad za pielęgniarką.

Przeskakuję wzrokiem po szarych korytarzach: lekarze mijają chaos, pielęgniarki noszą prześcieradła i świeże koszule, sanitariusze śpieszą się do pracy. Tylko pacjenci zdają się nie mieć czasu, ćmią się po korytarzach i patrzą w pustkę. Niektórzy z nich milczą, ci nie są ciekawi. Zupełnie inaczej jest przejść obok kogoś, kto mówi. Tacy wołają imiona bliskich, którzy chcieli o nich zapomnieć na zawsze, przemykają zębami po dialogach z milczeniem, albo ostrzegają nadgarstki przed żyletką. Język każdego z nich jest wyjątkowy i nabiera sensu jedynie w ich ustach. Nie zrozumie go inny pacjent, a czasem nawet lekarz. Istna wieża Babel, którą zbudował własny umysł.

Niespodziewanie pielęgniarka otwiera mi najbliższe drzwi i każe wejść do małej sali. Jedno łóżko jest puste (to dla mnie), na drugim siedzi dziewczyna o urodzie porcelanowej lalki. Złote włosy opadają miękko na białą koszulę, a melancholijne oczy chcą otworzyć okno i przez nie wyjść.

– To jest Lucyna. Jest tu od dawna, ale raczej nic z niej nie będzie. Przyda jej się towarzystwo.

– Co jej się stało?

– Ciężki przypadek schizofrenii – odpowiada zdawkowo pielęgniarka i wychodzi.

Kładę kilka przyborów i ręczników na szafce, oprócz tego mam koszulę na zmianę i ciepły sweter. Tyle dała mi matka, wszystko zupełnie bez zapachu i koloru.

– Serwus, jestem Weronika – mówię do Lucyny, ale dziewczyna nie reaguje.

Pielęgniarka wraca z lekami. Wyrzuca suche informacje odnośnie lekarza i tego, jakie będę mieć terapie. Pilnuje, żebym na pewno wzięła leki i sprawdza usta. Potem daje mi jakiś kleik, ale nie chcę go jeść, więc podłącza mi kroplówkę, narzekając na dzisiejszą młodzież. Zасыpiam z powodu leków, wijącego się żołądka i zmęczenia podróżą.

Budzi mnie nagłe szarpnięcie. Złote loki łaskoczą mnie po twarzy, a nade mną nachyla się Lucyna.

– Nie widziałas go?

– Kogo?!

– Cicho, bo usłyszysz!

– O co ci chodzi? – siadam na zdziwieniu i odsuwam się od Lucyny.

– Więc nie widziałas go? Mojego narzeczonego? Nie, nie mów IM. Nie pozwalają mi się z nim spotykać. Zabrali go wysoko w niebo i schowali za chmurami, żebym go więcej nie widziała.

– Nie znam twojego narz...

– Ciii! Dają mi zakaz na wieżę, żebym go nie szukała. Mogę wychodzić tylko na spacer, a ja nie chcę po ziemi. Moje stopy są dla nieba, tak jak jego skrzydła.

– Chyba coś ci...

– Teraz ukradli mu skrzydła i stłukli na kawałki. Gdy jest deszcz, chodzę je zbierać, żeby się nie zniszczyły. Nie powiesz IM? Obiecuję?

– Tak. Obiecuję.

– Jeśli przejdiesz próbę, zostaniesz strażnikiem. Wtedy pokażę ci mojego narzeczonego. Ale będziesz musiała patrzeć bez powiek, rozumiesz?

Kiwam sennie głową. Lucyna odsuwa się i bezszelestnie przechodzi do swojego łóżka.

– Nie śpij zbyt mocno. Uważaj. Koszmary lubią wchodzić przez uszy, a potem tańczą po myślach i gryzą. Roznoszą wściekłą, wiesz?

Gdy rano się budzę, Lucyny nie ma. Idealnie pościelone łóżko stoi samotne. Dopiero po chwili zauważam, że Lucyna śpi pod nim twarzą do ziemi. To po to, żeby patrzeć, co robią ONI. Nie wiem, kim są ONI i nie wiem, czy sama Lucyna wie, ale uparcie powtarza, że ONI siedzą w jej głowie i nie chcą stamtąd wyjść. Dlatego, gdy myśli o swoim narzeczonym, musi bardzo uważać i myśleć o nim pod spodem, zamknąć wszystkie swoje myśli w schronieniu, w czymś podobnym do przyszpitalnej wieży. Tam też chowa resztki skrzydeł narzeczonego, które zbiera w deszczu. Nie wiadomo, na ile są bezpieczne, bo ONI cały czas próbują się włamać do wieży. Na wszelki wypadek Lucyna tylko nocą sprawdza przez podłogę, czy ONI przypadkiem nie śpią.

– Kiedyś wejdę na wieżę i go uwolnię, raz na zawsze. Zobaczysz, odwiążę go i ukradnę niebu. Będzie tylko mój – mówi szept Lucyna.

Gdy robi się cieplej, pielęgniarka wyrzuca mnie i Lucynę na dwór. Jako jedyne nie robimy w ogródku, dlatego, że dla mnie szpadeł jest za ciężki, a dla Lucyny zbyt niebezpieczny. Lucyna nie znosi ziemi, dlatego rzadko kiedy dotyka jej stopami. Jej kroki są szybkie i ciągle podskakują. Podchodzę za nią do starej wieży, w której nic nie ma poza pajęczynami i zmęczonymi głosami.

– Jesteś wieżą – mówi nagle Lucyna i rysuje kamieniem po ceglastej baszcie.

– Czemu tak sądzisz?

– Zamknęłaś się w ciele. Jak w wieży. Chuda księżniczka, od szczurów i od wapnia. Zamurowałaś głód.

– Byłam za gruba. Musiałam schudnąć.

– Jeśli schudniesz jeszcze bardziej, porwie cię noc. I nikt cię nie znajdzie. ONI czekają na takich jak ty.

– Na szkielety?

– Nie, na takich, których nikt nie szuka.

– To nieprawda. Szukaliby mnie. Rodzice i siostra...

Patrzę w jasne oczy Lucyny i wiem, że w jej świecie tak to nie działa. Nigdy zresztą nie widziałam, żeby ktoś ją odwiedzał. Do mnie czasem zagląda rodzina, matka stara się być miła i troskliwa jak nigdy, przeprosza za to, że nie widziała moich problemów. Natomiast Lucyna jest tu już tak długo, że wszyscy o niej zapomnieli. Kto wie, może o mnie też kiedyś zapomną? Bo tak będzie im wygodniej?

– Zacznij jeść, wieżo, bo nikt cię nie znajdzie. A może się myłę. Może wcale nie jesteś wieżą? – szepcze Lucyna i chowa kamień do kieszeni.

Pierwszy raz zjadam więc kilka łyżek kleiku bez smaku, żeby mi zaufała. Żołądek z trudem powstrzymuje wymioty, ale w końcu się uspokaja. Lucyna przygląda mi się z uwagą i wyjmuje pognieciony zeszyt ze schowka ukrytego w wyblakłej tapecie.

– Jednak jesteś wieżą, jesteś strażnikiem. Przeszłaś próbę. U ciebie będą bezpieczne.

– Co to takiego? – pytam ze zdziwieniem, ale Lucyna milczy.

Otwieram zeszyt i trafiam na szkice. Przemykają po stronach na pajęczych nogach, zostawiając za sobą puste kartki albo nieczytelne labirynty przypadkowych kresek. Rysunki Lucyny nachodzą na siebie i zapętłają się w czarnych liniach taniego ołówka, niektóre zamazała wilgoć, jeszcze inne nie urodziły się do końca. Większość rysunków pokazuje zmęczonego mężczyznę o przenikliwie jasnych oczach i miękkich włosach, zdenerwowanych zakolami. Wygląda, jakby istniał naprawdę, jakby można dotknąć jego twarzy, jakby jego dłonie rzeczywiście trzymały kiedyś choć przez chwilę dłoń Lucyny. Są też szkice ich obojga, wtulonych w siebie i w ciszę. Skrzydła narzeczonego Lucyna także włożyła do zeszytu – resztki szkiełek, drobnych kamieni i skruszonych liści tkwią w usypanych szlakach między środkowymi stronami.

– Dobrze je schowaj. I nie pokazuj. Nie chcę, żeby cienie przykleiły mu się do twarzy. Nigdy ich nie lubił – mówi Lucyna i gładzi zeszyt na pożegnanie.

Jutro nie zaskakuje niczym nowym. Słońce nie przynosi Lucynie żadnych wieści od narzeczonego, a mnie denerwują jasne promienie wpadające przez nieosłoniętą szybę – nawet kraty nie umieją ich zatrzymać. Kolejne dni robią się coraz bardziej senne i podobne do siebie, lekarze wołają mnie na terapię, pielęgniarka wmusza leki i kleiki, poza tym Lucyna ma kilka napadów i znika w izolatce. Rzeczywistość szybko się starzeje, mogłabym przysiąc, że od dawna mieszkam w starym szpitalu i o mały włos nie zobaczyłam gdzieś w niebie narzeczonego Lucyny.

Jem coraz więcej kleiku i chociaż pielęgniarka jest sceptyczna, nie ma się do czego przyczepić. Lekarka uważa, że to zasługa jej i medycyny, że to efekt ciągłej mantry o akceptacji ciała, nabieraniu sił i przewyciężeniu niechęci do talerza. Ja wiem jednak, że to zupełnie z innego powodu – z powodu wieży Lucyny. Teraz nie jestem już zwykłą Weroniką, szkieletem bez tłuszczu. Jestem wieżą i nie mogę zniknąć, bo jeśli zniknę, zniknie narzeczonego Lucyny, który może i nigdy nie istniał, ale żyje w jej nadziei. Nie mogę go tak zwyczajnie zabić, bo wtedy zabiję i Lucynę. Nie jej ciało, ale dusze, które ma Lucyna.

– To nie jest tak, że ma się jedną duszę. Dusz zawsze jest kilka – mówi Lucyna i daje mi nowy szkic, tym razem jej narzeczonego ze skrzydłami, które miał, zanim ONI je stłukli.

– Skąd wiesz? Że jest kilka dusz? Ja nie wierzę w takie rzeczy.

– Czasem czuję, że zgrzytają. Może dlatego mnie boli – odpowiada Lucyna i przez jej twarz przemyka grymas.

– Dostajesz leki. Nie pomagają ci?

– Po nich mi gorzej. Nie widzę mojego narzeczonego. Nie słyszę, jak ONI skrobią po ścianach wieży. Nie jestem czujna i cały czas śpię, na łóżku, nie pod sufitem. Ale nie mów białym, bo znowu mnie przywiążą i podmienią mi krew, aż do serca.

– Czyli... oszukujesz ich?

Lucyna nie odpowiada. Zaciska kamień białymi palcami i przykłada go do czoła, jakby chciała jego ostrą krawędzią wyjąć z głowy myśli błakające się po omacku.

To dlatego z Lucyną jest coraz gorzej. W nocy słyszę tylko jej szept, może się modli, a może mówi – akysz – koszmarom, które kłują potłuczone skrzydła jej narzeczonego. Nie leży już spokojnie pod łóżkiem jak idealnie pościelona tkanina, ale marszczy się i rzuca jak przestraszona woda. Jednak w dzień jest spokojna, krzywi się trochę jedynie, gdy za oknem się chmurzy. Pielęgniarki i lekarze są zajęci swoimi sprawami, wierzą więc, że Lucyna bierze leki, skoro tabletki zawsze znikają z talerza. Czy powinnam im powiedzieć? Kazać ratować Lucynę? Czy lepiej patrzeć, jak jej ciało kruszy się coraz bardziej, ale dusze są coraz bliżej odnalezienia tego, którego kochają najmocniej na świecie?

– Zajmiesz się twarzami mojego narzeczonego? Zabierzesz je ze sobą? Zabierz je, wszędzie im będzie lepiej niż tu – prosi pewnego dnia Lucyna.

– Jeśli wyjdę, to wezmę twoje rysunki ze sobą, obiecuję.

– I obronisz przed NIMI?

– Tak, Lucyna. Obiecuję.

– To dobrze, bo ja nie mam już siły. W nocy słyszę, jak wchodzą do wieży.

Są coraz bliżej. Muszę ICH zatrzymać – mówi i wzdycha ciężko.

Do pokoju wchodzi lekarka i rozmawia z Lucyną. Pyta, czy wszystko w porządku, jak się czuje, czy na pewno nie słyszy głosów. Lucyna przytakuje. I ja też. Ja też przytakuję, że z Lucyną jest lepiej, że naprawdę jej się poprawia. Dlaczego dałam się wciągnąć w jej grę?

Kilka dni później dostaję wypis.

Tak, nareszcie wychodzę ze szpitala, cięższa o pięć kilo i szkice Lucyny. W szpitalu będą imieniny ordynatora, panuje więc zamieszanie. Pielęgniarki śpieszą się z wypisami i szukają oczek w rajstopach. Resztę pacjentów zbierają do sal i pokoi, chowają przed światem i przed ordynatorem, dają leki na sen, zamykają drzwi i powieki.

Dzisiaj nie pada, a niebo nie ubrało się w żadną chmurę. Jest i matka, czekająca przed starym maluchem. Lekarka opowiada jej o postępach, chwali się przeprowadzoną terapią i wymienia leki, które matce i tak nic nie mówią. Matka odbiera walizkę i nawet mnie obejmuje, późnej wręcza lekarce goździki i koniak.

– Chodź, Weronika, wsiadaj.

Żegnaj się z wieżą. Z ostrą kością, która stoi niebu w gardle.

Nagle jednak na ceglany piszczelu błysnęło coś złotego. Lekarka blednie i z krzykiem biegnie do szpitala. Pielęgniarka woła boga, ale nadaremno, przecież i tak dawno zapomniał o miejscu takim jak to. Kilku sanitariuszy wybiega ze szpitala z dmuchanym materacem.

Ale Lucyna i tak skacze, opada lekko jak złamane skrzydło, uderza o bruk, zanim zatrzymają ją pracownicy szpitala, upiory z jej głowy albo wiatr. Dziś nie ma chmur, więc ONI nie mogą więzić jej anioła. Może tym razem Lucyna naprawdę znajdzie swojego narzeczonego i go uwolni.

– To okropne – mówi matka bezbarwnym głosem, bo tak wypada, nie dlatego, że ma chociaż trochę współczucia.

Nie idę pożegnać się z ciałem Lucyny. Jeśli istnieją dusze, pojedyncze albo mnogie, to na pewno i tak już opuściły jej połamane kości i potrzaskane narządy. Chcę zapamiętać Lucynę taką, jaką pierwszy raz zobaczyłam. W białej koszuli i lokach bardziej złotych niż nadmorski piasek. Ta Lucyna się uśmiecha, bo teraz żyje razem z narzeczoną w moim zeszycie, z dala od leków i koszmarów. Teraz oboje mają skrzydła.

Gdy odjeżdżamy, jeszcze długo widzę wieżę na horyzoncie, jakby Lucyna przyszyła ją do nieba w zamian za swojego narzeczonego. Wieża szpitala, albo jak teraz ją nazywam, wieża Lucyny, zostanie w moim oku na zawsze. Nie tylko przez kilka mrugnięć.

Zyta Trych

# Rozliczanie w kilku odstępach

*... w domu Ojca Mego mieszkań jest wiele...*

Tyle przekaz ewangeliczny. Oczywiście w niebiesiech, a w tym domu ziemskim?

Patrioci terytorialni mówią, że człowiek związany jest z miejscem urodzenia na zawsze. I choć jak kot przywiązuje się do miejsca zamieszkania, to często musi je zmieniać i iść tam, gdzie go los posyła. W moim przypadku aż dziwne, że w ciągu tak długiego życia zmiany nie były ani ciągłe ani liczne. Przeprowadzałam się zaledwie sześć razy i to w obrębie tego samego miasta. W świecie bywałam z racji różnych obowiązków służbowych, ale na krótko. Związany z miejscem urodzenia człowiek, dla odróżnienia od innych, otrzymuje specjalne oznaczenia – imiona. Niestety, szkopuł w tym, że te imiona rodzice nadają beztrasko: bo ładnie brzmią, bo modne, bo... Nie myśląc, jakie one niosą w życiu zobowiązania, a nawet przeznaczenie. Osobiście dostałam trzy, wszystkie brzemiennie w życiowe przesłanie. Pierwsze niezwykle pokornej, biednej świętej, której misją było słuzenie innym. Drugie: baśniowej bohaterki z krainy czarów, też obdarowane cechami niecodziennymi, a trzecie świętej uświadamiającej piękno tego świata, przyrody i pochwałę mądrości. Niezły konglomerat wyobrażeń, w jakie rodzice chcieli mnie wyposażyć. No, jeszcze trzeba dodać znak zodiaku. Starożytni mówili, że to on decyduje, kim się urodziłeś, kim będziesz i co będziesz robił, a nie to, co chcesz, co sobie wybierzesz. Więc ten mój znak jest akurat w totalnej opozycji do moich imion.

Tego wszystkiego dla moich rodziców było chyba za wiele, zbyt trudne do użycia w życiu codziennym i dlatego w domu, w rodzinie nazwali sobie swoją córkę: Lalka (odkąd przeczytałam fajną powieść wdzięcznego wnuczka, pod tytułem „Moja babcia Lalunia” - przestałam się dziwić).

W życiu dorosłym musiałam przestawić się na imię właściwe, pierwsze, zgodne z metryką urodzenia, a nie było to łatwe w czasach przemian ustrojowych. Bo: za święte, za biedne, niepasujące do przyjętej formuły społecznej towarzysza, towarzysza ... i tu święte imię. Śmiechu warte!

W obecnym okresie dobrych zmian też za pokorne, za mierne, bez jakichś wzniosłych dążeń i dostosowywania się do technologii tego świata. Dlaczego o tym piszę w rozliczeniach? Bo ciągle te sprawy – tak czy siak, wpływają na bieg mojej egzystencji, a do tego nazwisko – krótkie i nietypowe – albo zapadają w czyjeś pamięci, albo kojarzą się z zupełnie czymś innym. Ale bywało też, że właśnie to imię otwierało

możliwości poruszania się w nowej przestrzeni, bo akurat coś komuś przypominało, albo z czymś się wiązało. Ktoś pamiętał taką osobę o takim imieniu z jakiejś sytuacji.

Więc tu się urodziłam, tu zostałam oznaczona imionami brzemieniami, no i wyjątkowym znakiem zodiaku.

I czy chciałam, czy nie  
Tu przyszłam z miłości  
Dla przebycia paru  
Świątokrzyskich dróg  
I stąd odejdę  
Drogą dla wszystkich  
... Żeby choć ślad pozostać mógł

Wszystkie te rzeczy, o których mówię, wikłają nas w życiu w przenajróżniejsze sytuacje. Czy możemy się przed tym obronić?

Uwikłani  
Uwikłani w PROCES istnienia  
Jak Józef K. - bohater Kafki  
Nieprzewidujący  
Budowaliśmy domy... na moście  
O wiele byłoby prościej  
Nie wdawać się z życiem w układy  
I nie być przedmiotem manipulacji  
Spektakli sądowych  
Pod przewodnictwem  
Podstępnej zdrady.

W moim życiu dorosłym, licząc od matury, w tym uwikłaniu życiowym ciągle trzeba było się z czymś borykać. Na medycynę nie dostałam się, ponieważ nie dostałam punktów za pochodzenie. No i jakby na to nie patrzeć nie była to przecież wina rodziców, na leśnictwo też nie, bo brakowało przynależności protoplastów do odpowiednich partii. Z pomaturalnej szkoły felczerskiej odeszłam sama, po roku wkuwania łacińskich nazw wszystkich kości szkieletu ludzkiego. Nie tolerowałam zapachu lizolu w szpitalu i krwi przy zabiegach chirurgicznych. Do dziś strzykawka kojarzy mi się z bólem. A więc choć chciałam zupełnie co innego osiągnąć, to nie zdobyłam nic. Jedyne, co mogłam zrobić w tym czasie, to pójść na WSN. A konsekwencje tego „wyboru” też nie były łatwe, bo po ukończeniu dostawało się nakaz pracy do byle jakiej dziury i trzeba było odpracować.

Wtedy też ni stąd, ni zowąd los zetknął mnie z człowiekiem uwikłanym w historię tego czasu, który wrócił do Polski, nie z tej słusznej strony wschodniej i nie

w tym mundurze wojskowym, a w battle-dressie i berecie andersowskim, w dodatku jako były uczestnik walki pod Monte Cassino.

Co ówczesna rzeczywistość mogła dać takiemu człowiekowi? Inwigilację, wyrzucanie z pracy, uprzykrzanie życia i uwikłanie w lawinę zdarzeń politycznych.

Połączyło nas, nazwijmy to, uwikłanie w niecodzienne koleje życia i zwykła kindersztuba wyniesiona z domu. On, buntownik nieludzkiego czasu, a ja, zapatrzona w bohaterstwo.

A jednak tamtej jesieni  
Amok miłosny ramiona nam poplątał,  
Jak wiatr zielonym drzewom konary  
I nie chcieliśmy nic wiedzieć o słotnej porze jesieni

A młodość się spieszy, na szczegóły nie patrzy, a w pamięci zachowuje najlepsze z lat swojego życia. Ludzie starsi mają czas dostrzegać wszystko. I jest tak:

Więżniowie  
Zmęczeni sobą  
Szarym codziennym byciem  
Innymi ludźmi, którzy  
Nas zawiedli...  
Ciągłe czymś zmęczeni...  
Uwięzieni między dniami  
Które wcale być nie chcą lepsze  
Marzymy skrycie  
Niech się wreszcie przetrze  
Niebo nasze ołowiane  
Nie mamy dokąd wznosić oczu  
Niech się coś wydarzy  
Na miarę naszych marzeń!

Mówią: kiedy los drzwi zamyka, to Pan Bóg otwiera okno. Groźba pracy w jakiejś małej miejscowości w czasie, kiedy tutaj był już dom, rodzina, dziecko – zmusiła mnie do poszukiwania innego wyjścia. Zupełnie przypadkowa osoba, pomogła znaleźć mi pracę na miejscu. Tyle, że też nie taką, jaką bym chciała, bo w szkolnictwie specjalnym. Miało to dobre i złe strony, bo zmuszało do ciągłego doksztalcania się w dziedzinie pedagogiki specjalnej i kończenia jednych studiów po drugich. Ciągłe powtarzałam, że ja tam długo nie będę pracować, a jednak doksztalałam się ciągle w tym kierunku i przetrwałam piętnaście lat.

To właśnie tam, jedna z koleżanek, niezwykle uduchowiona, gdy nawiązywała z kimś kontakt, zaczynała od wywiadu:

– Jakie masz imię? Jaki jest twój znak zodiaku.

A do mnie rzekła po zapoznaniu się z tymi danymi:

–Twoje życie to wieczna wieża niemożności. Nie możesz, a musisz. I ciągle do przodu. Jak przystaniesz – przepadniesz.

Więc kontynuowałam tę wspinaczkę po piętrach wieży niemożności, byle do celu. A cel jaki? Tam, gdzieś na szczycie.

A mąż w tym czasie, mowa o przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, odnalazł się w pracy zawodowej i społecznej jako komandor sekcji żeglarskiej, zaangażował się w pracę ze studentami. Zdobywał więc medale, odznaczenia, a nawet mieszkanie, w którym mieszkamy już ponad trzydzieści lat. I lata lecą.

Lata lecą, a życie?

Jak haft płaski

Na płótnie zgrzebnym myśli pogmatwane

Niczym pęczek nici splątanych

Z mozołem przepychamy problemy

W bliżej nieokreśloną przeszłość

Aż znikną z horyzontu

Albo na tyle, że będzie nam lżej

Ale niestety, pokonującym wieżę niemożności lżej być nie może. Choroby, nagłe odejścia bliskich i każdego dnia myśl o ucieczce od problemów. Ale gdzie, dokąd, które to już piętro wieży niemożności. Wszyscy jesteśmy więźniami.

Czas biegł i wszystko, co było przeznaczone, przyszło w odpowiednim czasie, a nawet urosło do niebotycznych rozmiarów. I czasem był to ciężar jak kamień młyński, a czasem tylko troska, co przerasta siły, tylko szczęścia, które serce zalewa, nie było.

W 1988 roku, w czerwcu, na radzie pedagogicznej w mojej szkole otrzymałam ostatnie pobory i jak to w przysłowiu: rąsia, buzia i życzenia spokojnej starości. Jeszcze w prawdzie przez dwa lata jakieś tam pół etatu, aż trzeba było odejść zupełnie.

Wielkie szczęście

Życie nasze przecieka

Przez utrudzone lata

Jak woda ożywcza przez sito

Czy pozostanie coś na dzień?

To, co już było ocenią inni

Lub rozliczymy sami

A to, co będzie

Takie nieznane,

Takie niepewne

Tylko dzisiaj, jeśli los

Jeszcze łaskawy coś daje

To wielkie szczęście.

I właśnie ten los łaskawy w 1995 roku dosłownie z łapanki ustawił mnie w gronie wolontariuszy kultury, gdzie wakowało miejsce sekretarza. A po czterech latach objęłam funkcję przewodnią w organizacji. Też mówiłam na początku, że nie będę, że nie chcę, że to wymaga bardzo dużo poświęcenia, a jednak pozostałam przez następnych dwadzieścia jeden lat. Teraz znów się zastanawiam co dalej, bo trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny.

I znów

Opasani ciasno płaszczem niemożności

Wbijamy wzrok ponad głowami innych

Cel wyznaczony

A może się zdarzyć, że niepisane nam tam dojść

I znów lądujemy w samym środku przepastnych wydarzeń

I potrzeb bliźnich.

Mąż kończy właśnie 93 lata. Spogląda tęsknie na ściany naszego skansenu obwieszone medalami za udział w regatach i rozmarza się: Ach, wtedy na Mamrach... to był szkwał! Och, co to była za burza. A na Wigrach, o mało naszej łajbie Tamarze nie urwało żagli... To było życie, to była młodość. Swoją długoletnią pracę na uczelni wspomina ciągle, bo: albo ten już nie żyje albo tamtego nie ma... właściwie nie ma już tamtych ludzi. Ani uczelnia męża, ani moja niestety nie pamiętają o nas. Jeszcze parę lat temu przynajmniej ktoś do drzwi zapukał z jakimś goździkiem albo z życzeniami od samorządu, ale od paru lat cisza. Widocznie młodym konsumentom życia nie mieści się w głowie, że my jeszcze funkcjonujemy.

Za parę tygodni kończę 90 lat. Jak się czuję? Podobno Marlena Dietrich, pytana przez dziennikarzy w późniejszym okresie swego życia, jak sobie radzi, odpowiedziała: na plecach jeszcze mogę leżeć. Jeśli o mnie chodzi – też mogę, nawet mogę utrzymywać się w pionie i to całkiem całkiem. A jeśli chodzi o umeblowanie głowy, to też jak w tej anegdocie o papieżu. Żalił się przyjaciel z lat szkolnych papieżowi: „Och, Karolku, żebyś wiedział jak mnie za nogi bierze”, na co papież odrzekł „Mnie też. Ale dziękujmy Bogu, że za nogi nas bierze, a nie za głowę”.

A póki potrafię dwie rzeczy powiedzieć do rzeczy, to nie rezygnuję z życia społecznego.

Przez pandemię nie wiadomo było, co robić z czasem. Więc siadam sobie nad stertą wyblakłych dyplomów, stosem medali rzekomo srebrnych i złotych, tudzież innych odznaczeń i marzę, żeby choć jedno z nich miało płynność finansową, to łatwiej byłoby rozliczać tamto życie.

I znów wieża niemożności: tego już nie mogę, tamtego mi nie wolno, tego nie przeskoczę, tego nie zrobię, temu nie podołam, a schody są przeszkodą nie do pokonania. Udaję więc wielką sportsmenkę, chodząc i starając się nie potykać o kijki do nordic walking.

Czasem zaglądam też do wydanych tomików poezji i prozy. Rozlatują się ze starości. Roztkliwiam się nad nimi i okazuje się, że właściwie całe życie to był jeden wielki wolontariat kulturalny, rodzinny, społeczny. Ciągłe w biegu i zaharowaniu typowy pracoholizm, a myślenie o przyszłości? To jak u Kubusia Puchatka w rozmowie Krzysia z przyjacielem: „A co będzie, jeżeli któreś z nas będzie musiało odejść”. „Nic. Usiądę sobie pod drzewem i będę czekał – odpowiedział przyjaciel”.

A póki co...

Kruchość

W życie kruche

Jak bezy w Czterech Porach Roku

Siebie artystycznie

Posklejany bibelot

Z chińskiej porcelany

Pod rękę ostrożnie prowadzę.

Ciągle się martwię

Czy się nie rozleci

I na ile witalności wystarczy?

W życie kruche,

Którego ciągle trochę jest

Jeszcze przede mną

Prowadzę siebie.

Ostrożnie pod rękę

Jak na spacer się wybieram

Do miłości, która

Już miłości nie wierzy

I do szczęścia, które

Innym przez palce przecieka

A mnie spotkać nie chce!

Ale iść przecież trzeba, by przyglądać się zmieniającemu się światu.

Zmierzch

Odchodzący świat starzejącego człowieka

Jest jak słońce

Pogodne, zachodzące

Ono jeszcze ogrzewa świat

Ludzi, zwierzęta, przyrodę

Ale spełniwszy już tego dnia

Swój odwieczny obowiązek

Spokojnie... odchodzi... na drugą stronę...

*Sierpień, 2021 r.*



